

Albert Camus

Upadek

(Przełożyła: Joanna Guze)

Czy mogę zaproponować panu swoje usługi, jeśli nie wyda się to panu natręctwem? Obawiam się, że szacowny goryl, który czuwa nad losami tego lokalu, nie rozumie pana. Mówi tylko po holendersku. Jeśli nie pozwoli mi pan wystąpić w pańskiej sprawie, nie odgadnie, że chciałby pan jałowcówki. Proszę, ośmielam się sądzić, że mnie zrozumiał; to skiniecie głową powinno oznaczać, że poddaje się moim argumentom. Już idzie, spieszy się z rozumną powolnością. Ma pan szczęście, nie chrząknął. Gdy nie chce podawać, wystarczy mu chrząknięcie: nikt nie nalega. Być królem swych humorów to przywilej wielkich zwierząt. Ale teraz się wycofam, szczęśliwy, że się panu przydał. Dziękuję, zgodziłbym się chętnie, gdybym był pewien, że się panu nie naprzykrzam. Pan jest zbyt dobry. Postawię więc mój kieliszek obok pańskiego.

Ma pan słuszność, jego niemota jest ogłuszająca. To cisza pierwotnych lasów naładowana od stóp do głów. Dziwi mnie niekiedy upór, z jakim nasz milczący przyjaciel dąsa się na języki cywilizowane. Z racji swego zawodu gości marynarzy z wszystkich krajów w tym amsterdamskim barze, który nie wiadomo dlaczego nazwał "Mexico-City". Zgodzi się pan, że przy tego rodzaju obowiązkach ignorancja nie bardzo jest na rękę. Niech pan wyobrazi sobie człowieka z Cro-Magnon w roli pensjonariusza wieży Babel! Co najmniej czułby się tam obco. Ale nie, ten człowiek nie czuje się obco, idzie swoją drogą, nic mu nie przeszkadza. W jednym z nielicznych zdań, jakie słyszałem z jego ust, oświadczył, że chodzi o to, by wziąć lub zostawić. Co należałoby wziąć lub zostawić? Niewątpliwie jego samego. Wyznam panu, że czuję pociąg do tych istot, całych z jednej bryły. Jeśli się dużo rozmyślało o człowieku – z zawodu lub z powołania – odczuwa się niekiedy nostalgię za prymitywami. Nie ma w nich żadnych utajonych myśli.

Prawdę mówiąc, nasz gospodarz ma kilka takich myśli, choć hoduje je w ukryciu. Ponieważ nie rozumie nic z tego, co mówi się w jego obecności, stał się nieufny. Stąd ów wyraz podejrzliwej powagi, jak gdyby przypuszczał co najmniej, że coś jest nie w porządku między ludźmi. Ta dyspozycja sprawia, że rozmowy nie dotyczące jego zawodu stają się mniej łatwe. Niech pan na przykład zwróci uwagę na pusty czworobok nad jego głową, na ścianie w głębi – miejsce, gdzie wisiał obraz. Rzeczywiście, był tu obraz, i to

szczególnie ciekawy, prawdziwe arcydzieło. Byłem obecny, gdy otrzymał ten obraz i gdy go odstąpił. W obu wypadkach zachował się z jednaką nieufnością, po tygodniach przeżuwania. Jeśli o to idzie, trzeba przyznać, że społeczeństwo zepsuło nieco szczerą prostotę jego natury.

Niech pan zauważy, że go nie osądzam. Cenię jego uzasadnioną nieufność i podzielałbym ją chętnie, gdyby moja rozmowność, jak pan widzi, nie stała temu na przeszkodzie. Niestety, jestem gadułą i przyjaźnię się łatwo. Choć potrafię zachować odpowiedni dystans, wszystkie okazje są dla mnie dobre. Kiedym mieszkał był we Francji, nie zdarzyło mi się, bym spotkał inteligentnego człowieka i od razu nie zawarł z nim bliższej znajomości. Ach, widzę, że pana razi ten czas zaprzeszły. Muszę wyznać, że mam do niego słabość, jak w ogóle do pięknej mowy. Słabość, którą mam sobie za złe, niech mi pan wierzy. Wiem dobrze, że upodobanie do wykwintnej bielizny nie oznacza tym samym, iż ma się brudne nogi. A jednak. Styl, tak samo jak popelina, zbyt często osłania egzemę. Pocięszam się powiadając sobie, że ci, co bełkocą, także nie są czyści. Ależ tak, napijmy się jeszcze jałowcówki.

Czy przyjechał pan na długo do Amsterdamu? Piękne miasto, prawda? Fascynujące? Oto przymiotnik, którego nie słyszałem od dawna. Odkąd opuściłem Paryż, a od tej chwili minęły już lata. Ale serce ma swoją pamięć i nie zapomniałem naszego pięknego miasta ani jego bulwarów nadbrzeżnych. Paryż jest prawdziwym złudzeniem optycznym, wspaniałą dekoracją zamieszkałą przez cztery miliony sylwetek. Blisko pięć milionów, według ostatniego spisu? Proszę, narobili więc dzieci. Wcale się nie dziwię. Zawsze wydawało mi się, że nasi ziomkowie mają dwie namiętności: idee i nierzęd. Na oślepie, że tak powiem. Strzeżmy się zresztą przed potępianiem; nie są jedyni, cała Europa jest w tym samym miejscu. Myślę sobie czasem, co powiedzą o nas przyszli historycy. Jedno zdanie wystarczy dla nowoczesnego człowieka: uprawiał nierzęd i czytał dzienniki. Po tej tęgiej definicji temat, jeśli wolno mi to powiedzieć, będzie wyczerpany.

Holendrzy, o nie, Holendrzy są o wiele mniej nowocześni! Mają czas, niech pan na nich spojrzy. Co robią? Cóż, ci panowie żyją z pracy tych pań. Są to zresztą, samcy i samice, bardzo mieszczańskie istoty, które przyszły tu, jak zwykle, z mitomanii lub z głupoty. Słowem, z nadmiaru lub z braku wyobraźni. Od czasu do czasu panowie puszczają w ruch nóż lub rewolwer, ale niech pan nie sądzi, że im na tym zależy. Rola tego wymaga, ot i wszystko, umierają ze strachu, wystrzeliwując ostatnie naboje. Co

powiedziawszy, uważam ich za bardziej moralnych od innych, tych, którzy zabijają w gronie rodzinnym, z rutyny. Czy nie zauważył pan, że nasze społeczeństwo zorganizowało się dla tego rodzaju likwidacji? Słyszał pan oczywiście o tych malutkich rybkach z rzek brazylijskich, które rzucają się tysiącami na nieostrożnego pływaka, w kilka chwil obierają go do czysta małymi szybkimi kęsami i zostawiają tylko niepokalany szkielet? To właśnie jest ich organizacja. "Chce pan mieć przyzwoite życie? Jak wszyscy?" Powiada pan: tak, rzecz prosta. Jakże powiedzieć: nie? "Zgoda. Zostanie pan obrany do czysta. Oto zawód, rodzina, zorganizowane rozrywki." I małe zęby wpijają się w ciało aż do kości. Ale jestem niesprawiedliwy., Nie trzeba mówić, że to ich organizacja. Mimo wszystko jest nasza: ten górą, kto obierze do czysta drugiego.

Wreszcie podają nam jałowcówkę. Za pańską pomyślność. Tak, goryl otworzył usta, żeby nazwać mnie doktorem. W tym kraju wszyscy są doktorami lub profesorami. Ludzie lubią tu okazywać respekt, z dobroci albo ze skromności. U nich niegodziwość nie jest przynajmniej instytucją narodową. Zresztą nie jestem lekarzem. Jeśli chce pan wiedzieć, byłem adwokatem, zanim tu przyjechałem. Teraz jestem sędzią-pokutnikiem.

Pozwoli pan, że się przedstawię: Jean-Baptiste Clamence, do pańskich usług. Rad jestem pana poznać. Pan zapewne zajmuje się interesami? Mniej więcej? Doskonała odpowiedź! I rozumna; we wszystkim jesteśmy tylko mniej więcej. Proszę, niech mi pan pozwoli zabawić się w detektywa. Jest pan mniej więcej w moim wieku, świadome oko czterdziestoletniego człowieka, który mniej więcej poznał krąg rzeczy, jest pan mniej więcej dobrze ubrany, to znaczy tak, jak ubierają się u nas, i ma pan gładkie ręce. A zatem bourgeois mniej więcej! Ale bourgeois wyrafinowany! Zżymać się na czas zaprzeszły po dwakroć dowodzi pańskiej kultury, ponieważ pan ów czas rozpoznaje i ponieważ użycie jego pana drażni. Wreszcie wydają się panu zabawny, co, bez próżności, wskazuje na to, że ma pan umysł otwarty. Jest pan mniej więcej... Ale czy nie wszystko jedno? Zawody interesują mnie mniej niż sekty. Pozwoli pan, że zadam panu dwa pytania, niech pan nie odpowiada na nie, jeśli uzna je pan za niedyskretne. Czy jest pan bogaty? Do pewnego stopnia. Dobrze. Czy podzielił się pan swym majątkiem z ubogimi? Nie. Jest pan zatem człowiekiem, którego nazywam saduceuszem. Jeśli nie czytywał pan Pisma świętego, przyznaję, że to panu wiele nie wyjaśni. To panu coś wyjaśnia? Zna pan więc Pismo święte? Doprawdy pan mnie zaciekawia.

Co do mnie... Niech pan sam osądzi. Z postawy, barów i tej twarzy, o której często

mówiono mi, że jest dzika, wyglądam raczej na gracza w rugby, nieprawda? Ale jeśli sędzić z rozmowy, trzeba mi przyznać trochę wyrafinowania. Wielbłąd, który dostarczył wełny na mój płaszcz, cierpiał niewątpliwie na świerzb; w zamian za to mam pielęgnowane paznokcie. Ja także jestem świadom, a jednak zaufałem panu bez żadnej ostrożności, tylko na podstawie pańskiego wyrazu twarzy. Wreszcie, mimo dobrych manier i pięknej mowy, jestem bywalcem marynarskich barów Zeedijk. No, niech pan nie szuka dalej. Mój zawód jest dwoisty jak człowiek, ot i wszystko. Powiedziałem już panu, że jestem sędzią-pokutnikiem. Jedna rzecz jest prosta w moim przypadku, nie posiadam nic. Tak, byłem bogaty, nie, nie podzieliłem się majątkiem z ubogimi. Czegóż to dowodzi? Że byłem również saduceuszem... O, słyszy pan syreny portowe? Na Zuyderzee będzie mgła tej nocy.

Pan już odchodzi? Niech mi pan wybaczy, jeśli pana zatrzymałem. Jeśli pan łaskaw, proszę nie płacić. Pan jest moim gościem w "Mexico-City", jestem szczególnie rad mogąc tu pana podejmować. Będę tu na pewno jutro, jak co wieczór, i skorzystam z wdzięcznością z pańskiego zaproszenia. Pańska droga... A więc... Ale czy wydałoby się panu niewłaściwe, gdybym odprowadził pana do portu, co byłoby prostsze? Jeśli wyszedłszy stąd okrąży pan dzielnicę żydowską, znajdzie się pan na pięknych ulicach, gdzie defilują tramwaje naładowane kwiatami i huczącą muzyką. Pański hotel jest przy jednej z nich, ulica Damrak. Proszę, pan zechce wyjść pierwszy. Ja mieszkam w dzielnicy żydowskiej albo w dzielnicy, która nazywała się tak aż do chwili, kiedy nasi bracia hitlerowcy oczyścili teren. Co za pranie! Siedemdziesiąt pięć tysięcy Żydów wywiezionych albo zamordowanych to oczyścić teren do cna. Podziwiam tę staranność, tę metodyczną cierpliwość! Kiedy nie ma się charakteru, trzeba sobie wypracować metodę. Tu dokonała ona cudu, nie ma dwóch zdań, mieszkam na miejscu jednej z największych zbrodni w historii. Może to właśnie pozwala mi zrozumieć goryla i jego nieufność. W ten sposób mogę walczyć z tą skłonnością natury, która popycha mnie nieodparcie ku sympatii. Kiedy widzę nową twarz, ktoś we mnie dzwoni na alarm. "Wolniej! Niebezpieczeństwo!" Nawet przy największej sympatii mam się na baczności.

Czy pan wie, że podczas akcji odwetowej w mojej wsi pewien oficer niemiecki poprosił najuprzejmiej starą kobietę, żeby zechciała wybrać tego ze swych dwóch synów, który będzie rozstrzelany jako zakładnik? Wybrać, czy pan to sobie wyobraża? Ten? Nie, tamten. I patrzeć, jak odchodzi. Zostawmy to, ale niech mi pan wierzy, że wszystkie

niespodzianki są możliwe. Znałem człowieka o czystym sercu, który odrzucił wszelką nieufność. Był pacyfistą, zwolennikiem absolutnej swobody, kochał jedną miłością całą ludzkość i zwierzęta. Dusza wyjątkowa, tak, to pewne. Otóż podczas ostatnich wojen religijnych w Europie schronił się na wsi. Napisał u wejścia do swego domu: "Skądkolwiek przychodzicie, wejdźcie i witajcie." Jak pan sądzi, kto odpowiedział na to piękne zaproszenie? Milicjanci, którzy weszli jak do siebie i wypatroszyli mu wnętrzności.

Och, przepraszam panią! Nic zresztą nie zrozumiała. Tyle ludzi, co, tak późno i mimo deszczu, który nie ustaje od wielu dni? Na szczęście jest jałowcówka, jedyny błysk w tych ciemnościach. Czy czuje pan światło, złociste, miedziane, jakie roztacza w panu? Lubię chodzić po mieście wieczorem w ciepłej jałowcówki. Chodzę całymi nocami, rozmyślam albo mówię do siebie bez przerwy. Jak dzisiaj, tak, i obawiam się, że ogłuszyłem pana nieco, dziękuję, bardzo pan uprzejmy. Ale to z nadmiaru; za ledwie otwieram usta, zdania się toczą. Ten kraj jest zresztą dla mnie natchnieniem. Lubię ten lud rojący się na chodnikach, wciśnięty w kąty na małym przestrzeni domów i wody, otoczony mgłami, zimną ziemią i morzem dymiącym jak woda do prania. Lubię go, ponieważ jest dwoisty. Jest tutaj i jest gdzie indziej.

Ależ tak! Słuchając ich ciężkich kroków na tłustym bruku, widząc, jak przechodzą ociężałe między sklepikami pełnymi złocistych śledzi i klejnotów koloru martwych liści, sądzi pan zapewne, że są tu dziś wieczór? Pan jest jak wszyscy, pan bierze tych dzielnych ludzi za plemię syndyków i kupców, liczący talary i szansę wiecznego życia, których cały liryzm polega na tym, że niekiedy, włożywszy wielkie kapelusze, biorą; lekcję anatomii? Pan się myli. Idą obok nas, to prawda, a jednak niech pan spojrzy, gdzie znajdują się ich głowy: we mgle neonów, jałowcówki i mięty, która spływa z czerwonych i zielonych szyldów. Holandia jest snem, proszę pana, snem ze złota i dymu, bardziej dymnym za dnia, bardziej złożonym i nocą, a w nocy i w dzień ów sen zaludniają Lohengrinowie jak ci oto, mknący w zamyśleniu na czarnych rowerach o wysokich kierownicach, żałobne łabędzie, które krążą bez przerwy po całym kraju, wokół mórz, wzdłuż kanałów. Śnią z głowami w miedzianych chmurach, toczą się wkoło, modlą się, lunatycy, w złożonym kadzidle mgły, nie ma ich już tutaj. Odjechali o tysiące kilometrów, w stronę Jawy, wyspy dalekiej. Modlą się do tych strojących miny bogów Indonezji, którymi ozdobili wszystkie swoje wystawy i którzy błakają się w tej chwili nad nami, zanim uczipią się niczym

okazałe mały szyldów i spadzistych dachów, by przypomnieć tym nostalgicznym osadnikom, że Holandia jest nie tylko Europą kupców, ale morzem, morzem, które prowadzi do Cipango i do tych wysp, gdzie ludzie umierają szaleni i szczęśliwi zarazem.

Ale pozwalam sobie za wiele, wygłaszam mowę! Niech mi pan wybaczy. Przyzwyczajenie, proszę pana, powołanie, a także pragnienie, żeby pan dobrze zrozumiał to miasto i serce rzeczy! Bo jesteśmy w sercu rzeczy. Czy zauważył pan, że koncentryczne kanały Amsterdamu przypominają kręgi piekła? Mieszczańskiego piekła, oczywiście, zaludnionego złymi snami. Kiedy przybywa się z zewnątrz, w miarę przechodzenia przez te kręgi, życie, a więc i jego zbrodnie stają się gęstsze, bardziej ciemne. Tu jesteśmy w ostatnim kręgu. W kręgu... Ach, pan to wie? Do licha, coraz trudniej pana zaszeregować. Rozumie pan zatem, dlaczego mogę powiedzieć, że tu jest środek rzeczy, choć znajdujemy się na krańcu kontynentu. Wrażliwy człowiek rozumie te dziwactwa. W każdym razie czytelnicy gazet i rozpustnicy nie mogą iść dalej. Przychodzą ze wszystkich krańców Europy i zatrzymują się wokół morza wewnętrznego, na spłowiłym piachu. Słuchają syren, na próżno szukają zarysu statków we mgle, potem przechodzą przez kanały i wracają wśród deszczu. Ziębnięci zjawiają się w "Mexico-City", by zamawiać jałowcówkę we wszystkich językach świata. Tam na nich czekam.

Do jutra więc, drogi ziomku. Nie, teraz znajdzie pan drogę; zostawiam pana przy tym moście. Nie przechodzę nigdy przez most nocą. Ślubowałem sobie. Niech pan zresztą pomyśli, że ktoś rzuca się do wody. Z dwojga jedno: albo skacze pan za nim, żeby go wyłowić, rzecz bardzo ryzykowna w chłodnej porze roku; albo też odchodzi pan, a niewykonane skoki pozostawiają czasem dziwne łamanie w krzyżu. Dobrej nocy! Co? Te panie za szybami? Sen, proszę pana, sen za niewielką cenę, podróż do Indii! Te osoby perfumują się korzeniami. Pan wchodzi, one zaciągają zasłony i żegluga się zaczyna. Bogowie schodzą na nagie ciała, wyspy odbijają od brzegu, szalone, ustrojone w rozwiane fryzury palm na wietrze. Niech pan spróbuje.

Kto to jest sędzia-pokutnik? Ach, zaintrygowałem pana tą historią. Niech mi pan wierzy, nie ma tu żadnej pułapki i mogę wytłumaczyć się jaśniej. W pewnym sensie należy to nawet do moich funkcji. Ale przedtem muszę wyłożyć pewne fakty, które pomogą panu lepiej zrozumieć moje opowiadanie.

Przed kilku laty byłem adwokatem w Paryżu i, na honor, adwokatem dość znanym. Oczywiście, nie podałem panu mego prawdziwego nazwiska. Miałem swoją specjalność: szlachetne sprawy. Wdowa i sierota, jak to się powiada, nie wiem dlaczego, są bowiem przecież podstępne wdowy i okrutne sieroty. Wystarczyło mi jednak poczuć najłżejszy zapach ofiary w osobie oskarżonego, żeby rękawy mej togi były już w akcji. I to w jakiej akcji! Burza! Miałem serce na rękawach. Można było doprawdy uwierzyć, że sprawiedliwość sypia ze mną co dzień. Jestem pewien, że podziwiałby pan stosowność tonu, celność wzruszenia, perswazję, żar i powściągane oburzenie moich mów obrończych. Natura była dla mnie łaskawa, jeśli idzie o wygląd fizyczny, szlachetne wzięcie przychodzi mi bez wysiłku. Co więcej, podtrzymywały mnie dwa szczerze uczucia: satysfakcja, że znajduję się po dobrej stronie i instynktowna pogarda dla sędziów w ogóle. Ta pogarda zresztą nie była może tak instynktowna. Wiem dziś, że miała swoje przyczyny. Ale z zewnątrz wyglądała raczej na namiętność. Niepodobna zaprzeczyć, że przynajmniej na razie trzeba nam sędziów, prawda? A jednak nie mogłem zrozumieć, jak człowiek sam sobie wybiera tę zdumiewającą funkcję. Przyjmowałem rzecz do wiadomości, skoro działa się na moich oczach, ale trochę tak, jak przyjmowałem do wiadomości szarańczę. Z tą różnicą, że inwazje tych prostoskrzydłych owadów nie przyniosły mi nigdy ani centyma, gdy zarabiałem na życie prowadząc dialog z ludźmi, którymi pogardzałem.

Ale byłem po dobrej stronie, to wystarczało dla spokoju mego sumienia. Poczucie sprawiedliwości, satysfakcja, że mamy słuszność, radość płynąca z szacunku dla samego siebie to potężne sprężyny, drogi panie, które trzymają nas na nogach czy też pozwalają nam posuwać się naprzód. Na odwrót, jeśli pozbawi pan tych uczuć ludzi, zamieni ich pan we wściekłe psy. Ileż zbrodni popełniono po prostu dlatego, że ich autorzy nie mogli

znieść myśli o swej winie! Znałem kiedyś pewnego przemysłowca; miał idealną, uwielbianą przez wszystkich żonę, którą mimo to zdradzał. Ten człowiek dosłownie szalał widząc, że postępuje źle, że nie może ani przyjąć, ani ofiarować sobie patentu cnoty. Im doskonalsza była jego żona, tym bardziej szalał. W końcu własna wina stała się dla niego nie do zniesienia. I co zrobił wówczas, jak pan myśli? Przestał ją zdradzać? Nie. Zabił ją. Dzięki temu właśnie nawiązałem z nim stosunki.

Moja sytuacja była bardziej godna pozazdroszczenia. Nie tylko nie ryzykowałem, że znajdę się w obozie zbrodniarzy (jako kawaler nie mogłem zresztą żadną miarą zabić żony), ale ponadto brałem ich jeszcze w obronę; pod warunkiem jednak, że są pocziwymi mordercami, jak inni są pocziwymi dzikusami. Sam sposób, w jaki prowadziłem tę obronę, dawał mi duże satysfakcje. W życiu zawodowym byłem doprawdy nienaganny. Nie brałem łapówek, to rozumie się samo przez się, ale, co więcej, nie zniżyłem się nigdy do jakichś zabiegów. Rzecz jeszcze bardziej rzadka, nie schlebiałem nigdy żadnemu dziennikarzowi, by pozyskać jego względy, ani żadnemu urzędnikowi, którego życzliwość mogła mi być pomocna. Kilkakrotnie mogłem otrzymać Legię Honorową; nie przyjąłem jej z dyskretną godnością, która była mi prawdziwą nagrodą. Nigdy wreszcie nie brałem honorariów od biedaków i nie rozgłaszałem tego na prawo i lewo. Niech pan nie sądzi, drogi panie, że się tym wszystkim chwalam. Moja zasługa była żadna: chciwość, która w naszym społeczeństwie zajmuje miejsce ambicji, zawsze przyprawiała mnie o śmiech. Mierzyłem wyżej; zobaczy pan, że jeśli idzie o mnie, to określenie jest właściwe.

Niech pan jednak oceni moje zadowolenie. Radowała mnie moja własna natura, a wiemy wszyscy, że na tym właśnie polega szczęście, chociaż, żeby wzajemnie się uspokoić, udajemy czasem, że potępiamy ten rodzaj przyjemności, nazywając ją egoizmem. W każdym razie radowały mnie te cechy mojej natury, które reagowały tak dokładnie na wdowę i sierotę, że w końcu, w miarę ćwiczenia, zapanowały nad całym moim życiem. Uwielbiałem na przykład pomagać ślepcom w przechodzeniu przez ulicę. Ledwo ujrzałem z daleka laskę wahającą się na rogu chodnika, rzucałem się pośpiesznie, niekiedy wyprzedzając o sekundę miłosierną dłoń, która się już wyciągała, odgradzałem ślepego od wszelkiej życzliwości prócz mojej własnej i prowadziłem go łagodną i pewną ręką przez znaczone gwoździemi przejście, pomiędzy przeszkodami ruchu ulicznego, ku spokojnej przystani trotuaru, gdzie rozstawaliśmy się jednako wzruszeni. Tak samo

lubiałem informować przechodniów na ulicy, podawać im ogień, pomagać zbyt ciężkim wózkom, popychać zepsute samochód, kupować dziennik od członka Armii Zbawienia czy kwiaty od starej kwiaciarki, choć wiedziałem przecież, że kradnie je na cmentarzu Montparnasse. Lubiałem również, ach, to jeszcze trudniej powiedzieć, lubiałem dawać jałmużnę. Jeden z moich przyjaciół, wielki chrześcijanin, przyznawał, że pierwsze uczucie, jakiego doznaje na widok żebraka zbliżającego się do jego domu, jest niemiłe. Ze mną było gorzej: radowałem się. Ale zostawmy to.

Mówmy raczej o mojej grzeczności. Była ona sławna i mimo to nie podlegająca dyskusji. W istocie, uprzejmość dostarczała mi wielkich radości. Jeśli któregoś ranka udawało mi się ustąpić miejsca w autobusie lub metrze komuś, kto na to naprawdę zasługiwał, podnieść przedmiot, który upuściła na ziemię stara pani, i podać go jej z dobrze mi znanym uśmiechem czy też po prostu odstąpić taksówkę osobie śpieszącej się bardziej ode mnie, mój dzień nabierał blasku. Rad byłem nawet, muszę to powiedzieć, z tych dni, kiedy środki komunikacji nie działały z powodu strajku i na przystanku autobusowym miałem okazję zabrać do swego samochodu kilku nieszczęsnych paryżan, którzy nie mogli wrócić do domu. Odstąpić wreszcie fotel w teatrze, by jakaś para mogła siedzieć obok siebie, umieścić w czasie podróży walizki młodej dziewczyny na wysokiej półce, oto grzeczności, do których byłem skłonny bardziej niż inni, uważniej bowiem czekałem na okazje i bardziej smakowałem płynące z nich rozkosze.

Uchodziłem więc za wielkodusznego człowieka i byłem nim w istocie. Dawałem dużo na sprawy publiczne i prywatne. Daleki od tego, by cierpieć, gdy musiałem się rozstać z jakimś przedmiotem czy sumą pieniędzy, znajdowałem w tym stałe przyjemności, z których nie najpośledniejszą był rodzaj melancholii rodzącej się we mnie niekiedy, gdym rozważał jałowość tych darów i niewdzięczność, jaka prawdopodobnie mnie czeka. Miałem nawet tak wielką przyjemność w dawaniu, że nie znosiłem tu żadnego przymusu. Punktualność w sprawach pieniężnych męczyła mnie i poddawałem się jej z niechęcią. Chciałem być panem swej wielkoduszności.

Są to rysy drugorzędne, ale one właśnie pozwolą panu zrozumieć nieustanną satysfakcję, jaką dawało mi życie, a zwłaszcza mój zawód. Kiedy na korytarzu sądu zatrzymywała mnie na przykład żona oskarżonego, którego broniłem jedynie w imię sprawiedliwości lub przez litość, chcę rzec za darmo, kiedy słyszałem, jak ta kobieta szepce, że niczym, niczym nie można odpłacić za to, co uczyniłem dla nich; kiedy

odpowiadałem wówczas, że to całkiem naturalne, każdy by postąpił tak samo; kiedy proponowałem nawet pomoc, by ulżyć w trudnych dniach, które nadejdą, a potem, chcąc skończyć z tą wylewnością i dać na nią właściwą odpowiedź, całowałem rękę biednej kobiety i odchodziłem bez słowa – niech mi pan wierzy, drogi panie, że osiągałem cel wyższy niż pospolity karierowicz i ten kulminacyjny punkt, gdzie cnota żywi się już tylko sobą.

Zatrzymajmy się na tych szczytach. Rozumie pan teraz, co miałem na myśli mówiąc, że mierzyłem wyżej. Mówiłem właśnie o kulminacyjnych punktach, jedynych, gdzie mogę żyć. Tak, czułem się dobrze tylko w górnych sytuacjach. Nawet w życiu na codzień musiałem być ponad. Woląłem autobus od metra, otwarty pojazd od taksówki, taras od piwnicy. Byłem amatorem sportowych awionetek, gdzie głową dotyka się nieba, na statkach zawsze szukałem oficerskich kajut na pokładzie. W górach unikałem dolin woląc przełęcze i szczyty; co najmniej trzeba mi było płaskowzgórzy. Gdyby los zmusił mnie do wyboru fizycznego zawodu, gdybym miał być tokarzem albo dekarzem, niech pan będzie pewien, że wybrałbym dachy i polubił zawroty głowy. Suteryna, dół okrętu, podziemia, groty, przepaści napawały mnie przerażeniem. Zaprzysiągłem nawet szczególną nienawiść speleologom, którzy mają czelność zajmować pierwsze stronicie dzienników; ich osiągnięcia budziły we mnie wstręt. Zejść poniżej ośmiuset metrów ryzykując, że głowa utkwi w skalistej gardzieli (w syfonie, jak powiadają ci naiwni!), na to trzeba być zepsutym lub chorym. Jakaś w tym kryje się zbrodnia.

Nigdzie natomiast nie czułem się lepiej niż na występie skalnym, pięćset czy sześćset metrów nad morzem, widocznym jeszcze i skąpanym w świetle, zwłaszcza gdy byłem sam, górując nad mrowiskiem ludzkim. Było dla mnie oczywiste, że miejscem kazań, rozstrzygających pouczeń, cudów ognia mogą być jedynie dostępne dla człowieka wyżyny. Według mnie nie rozmyśla się w piwnicach lub w celach więziennych (chyba że znajdują się one w wieży z rozległym widokiem); tam się pleśnieje. I rozumiem tego człowieka, który wstąpiwszy do klasztoru zrzucił habit, ponieważ jego cela, zamiast widoku na otwarty pejzaż, jak się tego spodziewał, miała okno na mur. Niech pan będzie pewien, że ja nie pleśniałem. O każdej godzinie dnia, sam ze sobą i wśród innych, wspinałem się na wysokości, zapalałem widoczne ognie i radosne pozdrowienie wznosiło się ku mnie. W ten sposób cieszyłem się przynajmniej życiem i własną doskonałością.

Mój zawód zaspokajał szczęśliwie ten pociąg do szczytów. Odbierał mi wszelką

gorycz wobec bliźniego, którego stale zobowiązywałem, nic mu nie zawdzięczając. Dawał mi miejsce nad sędzią, którego sądziłem z kolei, nad oskarżonym, którego zmuszałem do wdzięczności. Niech pan to dobrze zważy, drogi panie: żyłem bezkarnie. Nie dotyczył mnie żaden sąd, nie znajdowałem się na scenie trybunału, ale gdzie indziej, nad sceną, jak owi bogowie, których przy pomocy maszyny spuszcza się od czasu do czasu, by zmienić akcję i nadać jej pełny sens. W końcu żyć ponad wciąż jest jedynym sposobem, by być widzianym i zbierać ukłony większości.

Niektórzy z moich zacnych zbrodniarzy mordując byli zresztą posłuszni temu samemu uczuciu. W ich smutnej sytuacji lektura dzienników przynosiła coś w rodzaju żalostnej kompensaty. Jak wielu ludzi nie mogli znieść dłużej anonimowości i ta niecierpliwość prowadziła ich po części do fatalnych czynów. Żeby zyskać rozgłos, wystarczy w gruncie rzeczy zabić dozorcę z kamienicy. Niestety, chodzi tu o krótkotrwały rozgłos, tyłu jest dozorców, którym należy się cios nożem i którzy go dostają. Zbrodnia nieustannie zajmuje przód sceny, ale zbrodniarz jest tam przelotnie i zostaje zastąpiony natychmiast. Za te krótkie triumfy płaci się w końcu zbyt drogo. Na odwrót, obrona naszych nieszczęsnych aspirantów do rozgłosu przynosiła naprawdę rozgłos w tym samym czasie i na tym samym miejscu, ale tańszymi środkami. To zachęcało mnie również do godnych pochwały starań, by płacili możliwie najmniej: bo też płacili po trosze zamiast mnie. W zamian za to, moje oburzenie, talent, wzruszenie uwalniały mnie od wszelkiego długu wobec nich. Sędziowie karali, oskarżeni pokutowali, ja zaś, wolny od wszelkiego obowiązku, nie podlegając sądom i sankcjom, królowałem swobodnie w rajskim świetle.

Bo czy to nie Eden, drogi panie, życie brane po prostu? Takie było moje życie. Nigdy nie musiałem uczyć się życia. Przychodząc na świat wiedziałem już wszystko. Są ludzie, dla których problem polega na szukaniu ochrony przed innymi albo przynajmniej na ułożeniu się z innymi. Dla mnie rzecz była już dokonana. Poufały, kiedy należało, milczący, jeśli to konieczne, równie zdolny do swobody jak powagi: wszystko szło mi gładko. Toteż cieszyłem się wielką popularnością i nie liczyłem już moich sukcesów towarzyskich. Miałem dobrą prezencję, byłem wraz niestrudzonym tancerzem i dyskretnym erudyta, potrafiłem, co nie jest łatwe, kochać jednocześnie kobiety i sprawiedliwość, uprawiałem sporty i sztuki piękne; kończę na tym, żeby mnie pan nie podejrzewał o zarozumiałość. Ale niech pan sobie wyobrazi mężczyznę w sile wieku, o

doskonałym zdrowiu, wszechstronnie uzdolnionego, zręcznego w ćwiczeniach ciała i umysłu, ani biednego, ani bogatego, śpiącego dobrze i głęboko zadowolonego ze siebie, który przejawia to jedynie w miłych stosunkach towarzyskich. Zgodzi się pan wówczas, że z całą skromnością mogę mówić o udanym życiu.

Tak, niewiele znalazłoby się istot bardziej naturalnych ode mnie. Byłem w całkowitej zgodzie z życiem, przystawałem na wszystko, czym ono było, od góry do dołu, nie odrzucając nic z jego ironii, wielkości i serwitutów. W szczególności ciało, materia, słowem to, co fizyczne, co zbija z tropu i zniechęca tylu ludzi w miłości czy w samotności, przynosiło mi niemniejszą radość nie czyniąc mnie niewolnikiem. Byłem stworzony do posiadania ciała. Stąd we mnie ta harmonia, to swobodne panowanie nad sobą, które czuli ludzie i o którym mówili mi niekiedy, że pomaga im żyć. Szukano więc mojego towarzystwa. Często, na przykład, zdawało się komuś, że już mnie kiedyś spotkał. Życie, jego dary i ludzie szli mi na spotkanie; przyjmowałem tę hołdę z życzliwą dumą. Doprawdy, dzięki temu, że byłem tak pełnym i prostym człowiekiem, uważałem się po trosze za nadczłowieka.

Pochodziłem z ucziwej, ale z dość skromnej rodziny (mój ojciec był oficerem), a jednak zdarzały się poranki, wyznaję to z pokorą, kiedy czułem się synem królewskim czy gorejącym krzakiem. Niech pan zwróci uwagę, bynajmniej nie chodziło o pewność, w której żyłem, że jestem inteligentniejszy od innych. Ta pewność jest zresztą bez znaczenia, skoro tylu durniów ją podziela. Nie, ponieważ byłem obsypany łaskami, czułem się wybrany, wyznaję to nie bez wahania. Wybrany osobiście spośród wszystkich do tych długotrwałych i ciągłych powodzeń. W gruncie rzeczy był to skutek mojej skromności. Nie chciałem przypisywać sukcesów moim tylko zasługom, nie mogłem wierzyć, że połączenie w jednej osobie zalet tak różnych i krańcowych może być jedynie wynikiem przypadku. Dlatego też będąc szczęśliwy, czułem się niejako upoważniony do tego szczęścia jakimś wyższym dekretem. Jeśli panu powiem, że nie wyznawałem żadnej religii, zrozumie pan jeszcze lepiej, jak niezwykle było to przekonanie. W każdym razie, zwykle czy niezwykle, długo wynosiło mnie ponad codzienność i dosłownie fruwałem przez całe lata, których, prawdę mówiąc, żał mi w głębi serca. Fruwałem aż do wieczora, kiedy... Ale nie, to jest inna sprawa i trzeba o niej zapomnieć. Zresztą, przesadzam może. Wiodło mi się dobrze we wszystkim, to prawda, ale nie byłem zadowolony z niczego. Każda radość budziła we mnie pragnienie innej radości. Święto następowało po święcie.

Zdarzało mi się, że tańczyłem przez całe noce, coraz bardziej pijany ludźmi i życiem. Czasem, późno w noc, kiedy taniec, lekki alkohol, moje własne wyuzdanie, dzika swoboda wszystkich wtrącały mnie w zachwyt, zdawało mi się w moim znużeniu i przesycie, przez sekundę, że rozumiem wreszcie tajemnicę istot i świata. Ale zmęczenie znikało nazajutrz, a z nim tajemnica; i zaczynałem na nowo. Biegłem tak, zawsze pełen po brzegi, nigdy syty, nie wiedząc, gdzie się zatrzymać, aż do dnia, a raczej aż do wieczora, kiedy muzyka przestała grać i zgasły światła. Święto, kiedy byłem szczęśliwy... Ale niech mi pan pozwoli wezwać naszego przyjaciela prymitywa. Niech pan skinie głową, żeby mu podziękować, przede wszystkim zaś niech pan pije ze mną, trzeba mi pańskiej sympatii.

Widzę, że to oświadczenie dziwi pana. Czy nie doznawał pan nigdy nagłej potrzeby sympatii, pomocy, przyjaźni? Tak, oczywiście. Ja nauczyłem się zadowalać sympatią. Można ją znaleźć łatwiej, a poza tym nie zobowiązuje do niczego. "Niech pan wierzy w moją sympatię", w monologu wewnętrznym poprzedza bezzwłocznie: "A teraz zajmijmy się czym innym." Jest to uczucie znane premierom: zdobywa się je tanim kosztem po katastrofach. Z przyjaźnią sprawa nie jest tak prosta. Długo i z trudem się ją zdobywa, ale kiedy się już przyjaźń posiadało, nie sposób się od niej uwolnić, trzeba stawić czoło. Niech pan przede wszystkim nie wierzy, że pańscy przyjaciele będą telefonować do pana co wieczór, jak powinni, by dowiedzieć się, czy nie jest to właśnie wieczór, kiedy postanowił pan popełnić samobójstwo lub, bardziej po prostu, czy nie pragnie pan towarzystwa, jeśli nie ma pan ochoty wyjść z domu. Otóż nie, jeśli zatelefonują, będzie to właśnie wieczór, kiedy nie jest pan sam i życie jest piękne, zapewniam pana. Do samobójstwa raczej pana popchną w imię tego, co w ich mniemaniu winien pan jest samemu sobie. Niech Bóg nas broni, drogi panie, żeby przyjaciele cenili nas zbyt wysoko! Jeśli idzie o tych, którzy z urzędu powinni nas kochać, mówię o krewnych i powinowatych (cóż za określenie!), to już inna śpiewka. Mają właściwe słowo, ale jest to słowo-pocisk; telefonują tak, jak strzela się z karabinu. I dobrze celują. Ach, zdrajcy!

Co? Jaki wieczór? Dojdę do tego, niech pan będzie ze mną cierpliwy. W pewien sposób zresztą trzymam się tematu mówiąc o przyjaciółach i powinowatych. Widzi pan, opowiadano mi o człowieku, którego przyjaciel został uwięziony; ów człowiek spał co dzień na podłodze, żeby nie zaznać wygód, których pozbawiono tego, kogo kochał. Tak, drogi panie, któż będzie spał na podłodze dla nas? Czy ja jestem do tego zdolny? Niech

pan posłucha, chciałbym być do tego zdolny, będę. Tak, wszyscy to kiedyś potrafimy i to będzie zbawienie. Ale rzecz nie jest łatwa, bo przyjaźń jest roztargniona albo przynajmniej bezsilna. Nie potrafi tego, co chce. Może zresztą nie chce dosyć? Może nie kochamy dosyć życia? Czy zauważył pan, że tylko śmierć budzi nasze uczucia? Jakże kochamy przyjaciół, którzy nas opuścili, prawda? Jak podziwiamy tych naszych mistrzów, którzy milczą mając usta pełne ziemi! Hołd przychodzi wówczas w sposób naturalny, ten hołd, którego oczekiwali może przez całe życie. Ale czy wie pan, dlaczego jesteśmy zawsze bardziej sprawiedliwi i wielkoduszni ze zmarłymi? Przyczyna jest prosta! Wobec nich nie mamy zobowiązań. Zostawiają nam swobodę, możemy rozporządzać swoim czasem, upchać hołd pomiędzy cocktail i spotkanie z uroczą kochanką, słowem, przeznaczyć nań chwilę, z którą nie wiadomo co zrobić. Jeśli zobowiązują nas do czegoś, to do pamięci, a my mamy krótką pamięć. Nie, w naszych przyjaciółach kochamy świeżą śmierć, śmierć bolesną, nasze wzruszenie, siebie samych wreszcie!

Miałem więc przyjaciela, którego najczęściej unikałem. Nudził mnie trochę, a poza tym miał swoje zasady. Ale podczas agonii odzyskał mnie, niech pan będzie spokojny. Przychodziłem co dzień, bez pudła. Umarł zadowolony ze mnie, ściskając mi ręce. Pewna pani, która zbyt często i na próżno nie dawała mi spokoju, miała dość dobrego smaku, żeby umrzeć młodo. Jakież od razu miejsce w moim sercu! A cóż dopiero, jeśli chodzi o samobójstwo! Boże, co za rozkoszny rozgardiasz! Telefon dzwoni, serce przepelnione, zdania z umysłu krótkie, ale ciężkie od niedomówień, poskramiany ból, a nawet, tak, nieco samooskarżenia!

Człowiek jest taki, drogi panie, ma dwie twarze: nie może kochać nie kochając siebie. Niech pan przyjrzy się swym sąsiadom, jeśli szczęśliwym wypadkiem zdarzy się zgon w kamienicy. Spali w swoim malutkim życiu i oto umiera na przykład dozorca. Natychmiast budzą się, rzucają, dowiadują się, litują. Umarły jest na wokandzie i spektakl zaczyna się wreszcie. Cóż pan chce, trzeba im tragedii, to ich drobna przewaga, ich aperitif. Czy przypadkiem zresztą mówię panu o dozorczy? Miałem dozorcę, człowieka prawdziwie upośledzonego, ucieleśnioną złośliwość, potwora nic nie znaczącego i mściwego, który zniechęciłby franciszkanina. Nie rozmawiałem z nim nawet, ale samo jego istnienie sprawiało, że nie mogłem być zadowolony, jak to miałem w zwyczaju. Umarł, ja zaś poszedłem na jego pogrzeb. Czy zechce mi pan powiedzieć dlaczego?

Dwa dni, które poprzedziły ceremonię, były zresztą bardzo interesujące. Żona dozorca, wówczas chora, leżała w ich jedynym pokoju, obok niej ustawiono skrzynię na podpórkach. Trzeba było samemu przychodzić po pocztę. Każdy otwierał drzwi, mówił: "Dzień dobry pani", wysłuchiwał pochwały zmarłego, którego dozorczyńni wskazywała ręką, i zabierał swoją pocztę. Nic w tym zabawnego, prawda? A jednak cała kamienica defilowała przez łóżę dozorca, gdzie śmierdziało fenolem. I lokatorzy nie posyłali służby, nie, sami korzystali z gratki. Służba zresztą również, ale po kryjomu. W dzień pogrzebu okazało się, że skrzynia nie przechodzi przez drzwi łóży. "Och, kochany, mówiła dozorczyńni w swym łóżyku ze zdumieniem pełnym zachwyty i rozpaczy, jaki on był duży!" "Nie ma strachu, proszę pani, odpowiedział przedsiębiorca pogrzebowy, weźmie się go sztorcem, na stojąco." Wzięto go na stojąco, potem położono i ja sam tylko (wraz z dawnym, pikolakiem z kabaretu, który, jak zrozumiałem, co wieczór wypijał kieliszek pernod z nieboszczykiem) dotarłem na cmentarz i rzuciłem kwiaty na trumnę, której zbytowaność mnie zdumiała.

Następnie złożyłem wizytę dozorczyńni i przyjąłem jej podziękowanie godne tragiczki. Jakież powód tego wszystkiego? Żaden, chyba że aperitif.

Pochowałem również starego współpracownika Rady Adwokackiej. Był to niższy urzędnik, dość pogardzany, któremu zawsze ścisnąłem rękę. Tam, gdzie pracowałem, ścisnąłem zresztą wszystkim ręce, i raczej zbyt często niż zbyt rzadko. Dzięki tej serdecznej prostocie niewielkim kosztem zdobywałem sympatię wszystkich, niezbędną dla mego rozkwitu. Prezes Rady Adwokackiej nie zadał sobie trudu, żeby przyjść na pogrzeb naszego urzędnika. Ja przyszedłem, i to w przeddzień wyjazdu, co podkreślano. Otóż to, wiedziałem, że moja obecność zostanie zauważona i przychylnie skomentowana. Rozumie pan zatem, że nawet śnieg, który padał tego dnia, nie mógł mnie odwieść od mego zamiaru.

Co? Właśnie do tego zmierzam, niech pan będzie spokojny, jestem już blisko. Niech pan jednak pozwoli mi wpięrw zauważyć, że moja dozorczyńni, która zrujnowała się na krucyfiks, piękny dąb i srebrne uchwyty, by lepiej nacieszyć się swoim wzruszeniem, w miesiąc później zesłała się z pewnym elegantem o pięknym głosie. Ów elegant grzmocił ją, słyhać było okropne krzyki, po czym otwierał okno i zaczynał swój ulubiony romans: "Ach, jak piękne są kobiety!" "Tego już za wiele", mówili sąsiedzi. Czego za wiele, pytam pana? Zgoda, baryton miał pozory przeciw sobie i dozorczyńni również. Nic jednak nie

dowodzi, że się nie kochali. Nic nie dowodzi też, że nie kochała swego męża. Zresztą, kiedy elegant się ulotnił z nadwierzonym głosem i ręką, ona, ta wierna, wróciła do pochwał zmarłego. W końcu znam innych, za którymi przemawiają pozory, a nie są oni ani bardziej stali, ani bardziej szczerzy. Znałem człowieka, który dwadzieścia lat życia poświęcił pewnej kobiecie, wyrzekł się dla niej wszystkiego – przyjaźni, pracy, własnej nawet przyzwoitości – i który przyznał się pewnego wieczora, że nigdy jej nie kochał. Nudził się, tylko tyle, nudził się jak większość ludzi. Sam więc stworzył sobie życie pełne komplikacji i dramatów. Trzeba, żeby coś się stało, oto wyjaśnienie większości uczuć ludzkich. Trzeba, żeby coś się stało, nawet niewola bez miłości, nawet wojna czy śmierć. A zatem wiwat pogrzeby!

Ja przynajmniej nie miałem tego usprawiedliwienia. Nie nudziłem się, skoro panowałem. Mogę nawet powiedzieć, że tego wieczora, o którym panu opowiadam, nudziłem się mniej niż kiedykolwiek. Nie, doprawdy, nie pragnąłem, żeby coś się stało. A jednak... Widzi pan, drogi panie, był to piękny wieczór jesienny, jeszcze ciepły nad miastem, już wilgotny nad Sekwaną. Noc nadchodziła, niebo było jasne na zachodzie, ale ciemniało, latarnie świeciły słabo. Szedłem lewym brzegiem, ku mostowi des Arts. Widać było, jak rzeka połyskuje pomiędzy zamkniętymi skrzyniami bukinistów. Ludzi było mało: Paryż jadł już kolację. Deptałem żółte i zakurzone liście przywodzące na pamięć lato. Niebo napełniało się z wolna gwiazdami, które widać było przelotnie, pomiędzy jedną latarnią a drugą. Delektowałem się ciszą, która wróciła, słodyczą wieczoru, pustym Paryżem. Byłem rad. Dzień miałem dobry: ślepiec, zmniejszenie kary, którego się spodziewałem, ciepły uścisk dłoni mego klienta, kilka wspaniałomyślnych uczynków, po południu zaś świetna improwizacja w gronie przyjaciół o twardym sercu naszej klasy panującej i hipokryzji elity.

Wszedłem na most des Arts, pusty o tej porze, by spojrzeć na rzekę; ledwie można ją było odgadnąć w nocy, która już zapadła. Stojąc naprzeciw pomnika Henryka IV górowałem nad wyspą. Czułem, jak rodzi się we mnie poczucie potęgi i pełni, które rozpierało mi serce. Wyprostowałem się i miałem zapalić papierosa, papierosa satysfakcji, kiedy w tej samej chwili śmiech rozległ się za mną. Zdumiony odwróciłem się gwałtownie; nie było nikogo. Podeszedłem do balustrady: żadnej łódki, żadnej barki. Odwróciłem się ku wyspie i znów usłyszałem śmiech za plecami, nieco dalej, jak gdyby schodził do rzeki. Stałem nieruchomo. Śmiech cichł, ale słyszałem go jeszcze wyraźniej za

sobą, idący znikąd, chyba że z wody. Jednocześnie zauważyłem, że szybko bije mi serce. Niech mnie pan dobrze zrozumie: w tym śmiechu nie było nic tajemniczego; był to śmiech zdrowy, naturalny, przyjazny niemal, który przywracał rzeczom ich miejsce. Wkrótce zresztą nic już nie słyszałem. Zeszedłem na nadbrzeże, skręciłem w ulicę Dauphine, kupiłem papierosy, których wcale nie potrzebowałem. Byłem jak odurzony, oddychałem z trudem. Tego wieczora zatelefonowałem do przyjaciela, którego nie zastałem w domu. Zastanawiałem się, czy wyjść, gdy nagle usłyszałem śmiech pod oknami. Otworzyłem. Na chodniku młodzi ludzie żegnali się wesoło. Zamknąłem okna wzruszając ramionami; tak czy inaczej miałem akta do przestudiowania. Poszedłem do łazienki, żeby napić się wody. Moje odbicie uśmiechało się w lustrze, ale wydało mi się, że uśmiech jest podwójny...

Co? Przepraszam, myślałem o czym innym. Zobaczymy się z pewnością jutro. Jutro, tak właśnie. Nie, nie, nie mogę zostać. Prosił mnie zresztą o poradę ten brązowy niedźwiedź, którego pan tam widzi. Uczciwy człowiek, bez wątpienia, policja dokucza mu niegodziwie, po prostu z przewrotności. Uważa pan, że ma twarz mordercy? Niech pan będzie pewien, że jest to wygląd zawodowy. Potrafi się przy tym zręcznie włamać, i zdziwi się pan, kiedy powiem, że ten neandertalczyk wyspecjalizował się w handlu obrazami. W Holandii wszyscy są specjalistami od malarstwa lub tulipanów. Ten tutaj, mimo skromnej miny, jest autorem najslawniejszej kradzieży obrazu. Jakiego? Powiem to panu może. Niech pana nie dziwi moja wiedza. Choć jestem sędzią-pokutnikiem, mam swoją słabość: jestem doradcą prawnym tych dzielnych ludzi. Przestudiowałem prawa kraju i zdobyłem sobie klientelę w tej dzielnicy, gdzie nie żądają od nikogo dyplomów. Nie jest to łatwe, ale budzę zaufanie, prawda? Śmieję się szczerze, energicznie ściskam rękę, a to są atuty. Poza tym załatwiłem kilka trudnych spraw przede wszystkim z interesu, lecz także z przekonania. Gdyby wszędzie i zawsze skazywano sutenerów i złodziei, wszyscy uczciwi ludzie uważaliby się wciąż za niewinnych, kochany panie. A według mnie – idę już, idę! – tego właśnie trzeba nade wszystko unikać. – Inaczej byłoby się z czego śmiać.

3

Doprawdy, mój drogi ziomku, jestem panu wdzięczny za pańskie zainteresowanie. A jednak w mojej historii nie ma nic nadzwyczajnego. Skoro panu na tym zależy, powiem, że przez kilka dni myślałem trochę o tym śmiechu, potem zapomniałem. Niekiedy zdawało mi się, że go słyszę gdzieś w sobie. Ale najczęściej bez wysiłku myślałem o czym innym.

Muszę jednak przyznać, że moja noga nie powstała więcej na bulwarach nadbrzeżnych Paryża. Kiedy przejeżdżałem tamtędy samochodem czy autobusem, jakaś cisza zapadała we mnie. Czekałem. Ale mijając Sekwanę, nic się nie zdarzało, oddychałem znowu. W tym czasie miałem też pewne kłopoty ze zdrowiem. Nie wiem, co to było, jakieś przygnębienie chyba; nie mogłem odzyskać dobrego humoru. Byłem u lekarzy, którzy zapisali mi środki pobudzające. Nabierałem animuszu, potem znowu spadałem w dół. Życie stało się dla mnie mniej łatwe: kiedy ciało jest smutne, serce powoli umiera. Zdawało mi się, że częściowo, oduczyłem się tego, czego nie uczyłem się nigdy i co umiałem przecież tak dobrze, to znaczy oduczyłem się żyć. Tak, sądzę, że wtedy wszystko się zaczęło.

Ale i dzisiejszego wieczora nie czuję się dobrze. Z trudem nawet układam zdania. Zdaje mi się, że mówię gorzej i mniej pewnie. To bez wątpienia pogoda. Źle się oddycha, powietrze jest tak ciężkie, że uciska pierś. Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, mój drogi ziomku, żebyśmy wyszli trochę na miasto? Dziękuję.

Jakże piękne są kanały wieczorem! Lubię oddech pokrytych pleśnią wód, zapach martwych liści, które mokną w kanale, i ów żałobny zapach unoszący się z łodzi pełnych kwiatów. Nie, nie, w tym upodobaniu nie ma nic chorobliwego, niech mi pan wierzy. Przeciwnie, tak sobie postanowiłem. Rzecz w tym, że zmuszam się do podziwiania kanałów. Widzi pan, najbardziej w świecie lubię Sycylię, i to z wierzchołka Etny, w świetle, gdzie góruję nad wyspą i morzem. Lubię też Jawę, ale w okresie pasatów. Tak byłem tam w młodości. W ogóle lubię wszystkie wyspy. Łatwiej tam panować.

Rozkoszny dom, prawda? Dwie głowy, które pan tu widzi, to niewolnicy murzyńscy. Szyld. Dom należał do handlarza niewolników. O, w tamtych czasach nie

ukrywano swoich zamiarów! Ludzie mieli fantazję, mówili: "Proszę, mam własny dom, handluję niewolnikami, sprzedaję czarne mięso." Czy może pan wyobrazić sobie dzisiaj kogoś, kto podaje do publicznej wiadomości, że to właśnie jest jego zawód? Jaki skandal! Już słyszę głosy moich paryskich kolegów. Są w tych sprawach nieuleczalni, nie wahaliby się ogłosić dwóch czy trzech manifestów, może nawet więcej! Po namyśle dorzuciłbym swój podpis. Niewolnictwo, ależ nie, jesteśmy przeciw! Że człowiek musi je wprowadzać w swoim domu lub w fabrykach, zgoda, taki jest porządek rzeczy, ale chwalić się, nie, tego już nadto.

Wiem dobrze, że nie można wyrzec się panowania ani przestać pragnąć, by mu służono. Każdemu trzeba niewolników jak powietrza. Rozkazywać to oddychać, pan się zgodzi? I nawet najbardziej wydziedziczeni mogą oddychać. Ostatni na drabinie społecznej ma żonę lub dziecko. Jeśli to kawaler, psa. Najważniejsze to móc się gniewać i żeby drugi nie miał prawa odpowiedzieć. "Nie odpowiada się ojcu", zna pan tę formułę? W pewnym sensie jest szczególna. Komuż miałoby się odpowiadać na tym świecie, jeśli nie temu, kogo się kocha? W innym sensie jest przekonywająca. Ktoś musi mieć ostatnie słowo. Inaczej każdej racji można by przeciwstawić inną: nie byłoby temu końca. Na odwrót, siła rozstrzyga wszystko. Zużyliśmy na to dużo czasu, ale zrozumieliśmy przecież. Zapewne zauważył pan, że nasza stara Europa filozofuje wreszcie w rozsądny sposób. Nie mówimy już jak w naiwnych czasach: "Tak myślę. Co pan na to?" Jesteśmy mądrzejsi. Zastąpiliśmy dialog komunikatem. "Taka jest prawda, powiadamy. Może pan z nią dyskutować, to nas nie interesuje. Ale za kilka lat będzie policja, która panu dowiedzie, że mam rację."

Ach! Kochana planeta! Wszystko jest teraz jasne. Znamy się, wiemy, do czego jesteśmy zdolni. Proszę, żeby zmienić przykład, jeśli nie temat: zawsze chciałem, żeby mi służono z uśmiechem. Jeśli służąca miała smutną minę, zatrzuwała mi życie. Oczywiście, mogła nie być wesoła. Ale mówiłem sobie, że lepiej byłoby dla niej, żeby spełniała swoje obowiązki śmiejąc się raczej niż płacząc. W gruncie rzeczy to było lepsze dla mnie. A jednak, nie chwając się, moje rozumowanie nie było całkiem idiotyczne. Dla tego samego powodu nie chciałem nigdy jadać w chińskich restauracjach. Dlaczego? Dlatego, że Azjaci mają często pogardliwy wyraz, kiedy milczą, zwłaszcza w towarzystwie białych. Rzecz prosta, że z tym wyrazem podają do stołu. Jakże więc delectować się delikatnym kurczęciem, i co ważniejsze, jak patrząc na nich myśleć, że mamy rację?

Mówiąc między nami, niewola, najlepiej jeśli uśmiechnięta, jest rzeczą nieuniknioną. Ale nie powinniśmy się do tego przyznawać. Czy nie lepiej, żeby ten, kto nie może sobie odmówić posiadania niewolników, nazywał ich wolnymi ludźmi? Przede wszystkim dla zasady, a potem, żeby ich nie doprowadzać do rozpacz. Należy im się ta rekompensata, prawda? W ten sposób będą nadal się uśmiechać, my zaś zachowamy czyste sumienie. Bez tego musielibyśmy zmienić o sobie zdanie, szalelibyśmy z bólu lub nawet stalibyśmy się skromni, można się obawiać wszystkiego. Tak więc żadnych szyldów, a ten jest gorszący. Zresztą, gdyby wszyscy zasiedli do stołu, podali swój prawdziwy zawód, swoją tożsamość, człowiek nie wiedziałby, gdzie się podziać. Niech pan wyobrazi sobie bilety wizytowe: Dupont, tchórzliwy filozof albo chrześcijanin-właściciel, albo wiarołomny humanista, doprawdy jest w czym wybierać. Ależ to byłoby piekło! Tak, piekło pewnie jest takie: ulice z szyldami i żadnego sposobu, żeby się wytłumaczyć. Jest się zaklasyfikowanym raz na zawsze.

Na przykład pan, mój drogi ziomku, niech pan pomyśli, jaki byłby pański szyld. Pan milczy? No cóż, odpowie mi pan później. W każdym razie znam swój: podwójna twarz, czarujący Janus, a powyżej dewiza domu: "Nie liczcie na to." Na moich biletach wizytowych: "Jean-Baptiste Clamence, komediant." Proszę, niedługo po wieczorze, o którym panu mówiłem, coś odkryłem. Kiedy zostawiałem ślepcę na chodniku, gdzie pomogłem mu wylądować, składałem mu ukłon. Ten ukłon kapeluszem nie był oczywiście dla niego przeznaczony, nie mógł go widzieć. Do kogo więc się zwracał? Do publiczności. Po roli, ukłony. Niezłe, co? Innym razem, było to w tym samym czasie, odpowiedziałem automobiliście, który mi dziękował za pomoc, że nikt by tego nie zrobił. Rzecz prosta, chciałem powiedzieć, że każdy by zrobił to samo. Ale ten nieszczęsny lapsus nie dawał mi spokoju. Jeśli idzie o skromność, byłem doprawdy niezwykły.

Trzeba wyznać pokornie, mój drogi ziomku, że zawsze rozsadzała mnie pycha. Ja, ja, ja, oto refren mego kochanego życia, który słyhać było we wszystkim, co mówiłem. Nie mogłem nigdy mówić inaczej niż chwając się, zwłaszcza jeśli robiłem to z ową druzgocącą dyskrecją, której tajemnicę posiadałem. To prawda, że zawsze byłem wolny i potężny. Po prostu czułem się wolny w stosunku do wszystkich dla tej doskonałej przyczyny, że nie uznawałem nikogo za równego sobie. Zawsze uważałem się za bardziej inteligentnego od innych, powiedziałem to panu, ale również za bardzo wrażliwego i zręcznego, wyborny strzelec, niezrównany kierowca, najlepszy kochanek. Nawet w

dziedzinach, w których mogłem łatwo sprawdzić swoją niższość, jak na przykład tenis, gdzie byłem tylko przyzwoitym partnerem, z trudnością przyszłoby mi uwierzyć, że nie przewyższyłbym o klasę najlepszych, gdybym miał czas na trening. Widziałem w sobie same przewagi, co tłumaczyło moją życzliwość i pogodę. Kiedy zajmowałem się kim innym, było to czyste pobłażanie, robiłem to z dobrej woli i moja była cała zasługa: wstępowałem o stopień wyżej w miłości do siebie.

W okresie, który nastąpił po owym wieczorze, odkryłem powoli te oczywiste prawdy wraz z kilkoma innymi. Nie od razu, nie, ani bardzo wyraźnie. Trzeba było wpierw, żebym odnalazł pamięć. Stopniowo zacząłem widzieć jaśniej, wyciągać wnioski z tego, co wiedziałem. Aż dotąd pomagał mi zdumiewający dar zapominania. Zapominałem o wszystkim, zwłaszcza o moich postanowieniach. Nic się właściwie nie liczyło. Wojna, samobójstwo, miłość, nędza, zwracałem na to oczywiście uwagę, kiedy okoliczności mnie zmuszały, ale w sposób uprzejmy i powierzchowny. Niekiedy udawałem, że pasjonuje mnie sprawa obca mojemu codziennemu życiu. W głębi jednak nie brałem w niej udziału, prócz tych wypadków oczywiście, kiedy wchodziła w grę moja wolność. Jakby to panu powiedzieć? Ześlizgiwało się. Tak, wszystko ześlizgiwało się po mnie.

Bądźmy sprawiedliwi: zdarzało się, że moje zapomnienia zasługiwały na pochwałę. Wie pan, że są ludzie, których religia polega na przebaczeniu zniewag; przebaczą, ale nie zapominają ich nigdy. Nie byłem z dość dobrego kruszczu, żeby przebaczać zniewagi, ale w końcu zawsze o nich zapominałem. I ktoś, kto uważał, że go nienawidzę, nie mógł przyjść do siebie widząc, jak witam go z najserdeczniejszym uśmiechem. Zgodnie ze swoją naturą podziwiał wówczas wielkość mojej duszy albo pogardzał moim łajdactwem, nie myśląc o tym, że miałem prostsze powody: zapomniałem o nim tak bardzo, że nie wiedziałem nawet, jak się nazywa. To samo kalectwo, które czyniło mnie obojętnym lub niewdzięcznym, przydawało mi wielkoduszności.

Żyłem więc z dnia na dzień, nie znając innej ciągłości jak moje ja – ja – ja. Z dnia na dzień kobiety, z dnia na dzień cnota lub występki, z dnia na dzień jak psy, ale ja sam co dzień wytrwale na posterunku. W ten sposób posuwałem się po powierzchni życia w słowach niejako, nigdy naprawdę. Wszystkie te książki nie całkiem przeczytane, ci przyjaciele nie całkiem kochani, te miasta nie całkiem zwiedzane, te kobiety nie całkiem

posiadane! Robiłem gesty z nudy lub z roztargnienia. Ludzie szli za mną, chcieli się ucześcić, ale nie było nic i to było nieszczęście. Dla nich. Bo ja zapomniałem. Pamiętam zawsze tylko o sobie samym.

Powoli jednak pamięć mi wracała. Lub raczej ja wracałem do niej i znalazłem wspomnienie, które na mnie czekało. Zanim je panu opowiem, pozwoli mi pan, drogi ziomku, przytoczyć kilka przykładów (przydadzą się panu, jestem pewien), przykładów tego, co odkryłem w trakcie moich poszukiwań.

Pewnego dnia, kiedy prowadząc auto zatrzymałem się na sekundę dłużej przy zielonym świetle, podczas gdy nasi cierpliwi rodacy bez przerwy bombardowali mnie sygnałami z tyłu, przypomniałem sobie nagle inny wypadek, który zdarzył się w tych samych okolicznościach. Motocykl, prowadzony przez małego, suchego mężczyznę w binoklach i sportowych krótkich spodniach, wyprzedził mnie i stanął przed moim autem przy czerwonym świetle. Gdy motocykl stawał, zgasł motor i człowieczek na próżno usiłował go rozruszać znowu. Światło zmieniło się i poprosiłem go ze zwykłą mi grzecznością, by pozwolił mi przejechać. Człowieczek denerwował się wciąż na swój dychawiczny motor. Odpowiedział więc, zgodnie z regułami paryskiej uprzejmości, żebym sobie poszedł w diabły. Obstawałem przy swoim, wciąż grzecznie, ale z lekkim odcieniem niecierpliwości w głosie. Poinformował mnie niezwłocznie, że tak czy inaczej pośle mnie, gdzie trzeba. Tymczasem rozległy się za mną sygnały. Z większą stanowczością poprosiłem mego rozmówcę, żeby zechciał być grzeczny, i zwróciłem mu uwagę, że tamuje ruch. Popędliwa osobistość, rozjątrzona zapewne złą wolą motoru, oczywistą już teraz, powiadomiła mnie, że jeśli życzę sobie tego, co on nazwał zaprawą, ofiarowuje się z największą chęcią. Tak wielki cynizm nappełnił mnie wściekłością; wysiadłem z auta z zamiarem natarcia uszu temu pyskaczowi. Nie myślę, żebym był tchórzem (czego jednak człowiek nie myśli!), przewyższałem o głowę mego przeciwnika, mięśnie zawsze dobrze mi służyły. Jestem przekonany dziś jeszcze, że "zaprawa" stałaby się jego udziałem. Ale zaledwie stanąłem na jezdni, kiedy z tłumu, który zaczął się gromadzić, wyszedł jakiś mężczyzna, skierował się ku mnie, zapewnił mnie, że jestem ostatnim z ostatnich i że nie pozwoli uderzyć człowieka, który mając motocykl między nogami jest na skutek tego w gorszej sytuacji. Spojrzałem w stronę muszkietera, ale nawet go nie zobaczyłem. Ledwie bowiem odwróciłem głowę, gdy niemal jednocześnie usłyszałem huk motoru i dostałem tęgi cios w ucho. Zanim miałem czas uświadomić

sobie, co zaszło, motocykl odjechał. Ogłuszony skierowałem się machinalnie ku d'Artagnanowi, ale w tej samej chwili wściekły chór sygnałów rozległ się z aut, tworzących teraz pokaźny sznur. Wróciło zielone światło. Wówczas, wciąż jeszcze trochę zamroczony, zamiast zdzielić durnia, który mnie zaczepił, wsiadłem potulnie do auta i ruszyłem; kiedy przejeżdżałem, dureń rzucił za mną: "nędzny typ", co pamiętam dziś jeszcze.

Historia bez znaczenia, powiada pan? Na pewno. Tylko że długo nie mogłem o niej zapomnieć. A miałem przecież wytłumaczenie. Pozwoliłem się uderzyć, nie odpowiedziałem, ale nie można mi było zarzucić tchórzostwa. Zaskoczony, napadnięty z dwóch stron, zagmatwałem wszystko, a sygnały dopełniły zamętu. A jednak byłem nieszczęśliwy, jak gdybym uchybił wymaganiom honoru. Widziałem siebie, jak wsiadam do auta jak gdyby nigdy nic, pod ironicznymi spojrzeniami tłumu, tym bardziej zachwyconego, że miałem na sobie, pamiętam, bardzo elegancki granatowy garnitur. Słyszałem słowa "nędzny typ!", które mimo wszystko wydawały mi się usprawiedliwione. Tak czy inaczej, ośmieszyłem się publicznie. Na skutek zbiegu okoliczności, to prawda, ale zawsze są okoliczności. Po wszystkim widziałem jasno, co powinienem był zrobić. Widziałem siebie, jak walę d'Artagnana tęgim sierpowym, wsiadam do auta, ścigam łobuza, który mnie uderzył, chwytam go, spycham jego motor na chodnik, odciągam faceta na stronę i daję mu cięgi, na które dobrze sobie zasłużył. Z kilku wariantami sto razy nakręcałem ten krótki film w wyobraźni. Ale było za późno i przez kilka dni trawiłem ohydną urazę.

Proszę, pada znowu. Zatrzymajmy się w tym przedśionku. Dobrze. Na czym stanąłem? Ach, tak, honor! Kiedy więc odnalazłem wspomnienie tej przygody, zrozumiałem, co ona oznacza. A zatem, moje marzenie nie oparło się próbie faktów. Marzyło mi się, teraz było to jasne, że jestem pełnym człowiekiem, który potrafi wzbudzić szacunek do swej osoby i do swego zawodu. Na wpół Cerdan, na wpół de Gaulle, że tak powiem. Krótko mówiąc, chciałem mieć przewagę we wszystkim. Dlatego zadawałem tonu, kokietowałem swoją zręcznością fizyczną raczej niż zdolnościami intelektualnymi. Ale kiedy uderzono mnie publicznie, a ja nie zareagowałem na to, nie mogłem dłużej pieścić tego pięknego wizerunku swojej osoby. Gdybym był przyjacielem prawdy i rozumu, jak utrzymywałem, czym byłoby to zdarzenie, zapomniane już przez tych, którzy byli jego świadkami? Zarzuciłbym sobie tylko, że rozgniewałem się o nic i że będąc

rozgniewany nie potrafiłem stawić czoła konsekwencjom gniewu z braku przytomności umysłu. Zamiast tego płonąłem z pragnienia odwetu: bić i zwyciężyć. Jak gdybym nie pragnął naprawdę być istotą najbardziej inteligentną czy wielkoduszną na ziemi, lecz bić, kogo zechcę, być silniejszym, i to w sposób najbardziej prymitywny. Rzecz w tym, że każdy człowiek inteligentny, pan wie o tym, marzy, żeby zostać gangsterem i panować nad społeczeństwem jedynie dzięki przemocy. Ponieważ nie jest to tak łatwe, jak można sądzić z lektury powieści tego rodzaju, zabiera się do polityki i wstępuje do najbardziej okrutnej partii. Cóż znaczy upokorzyć umysł, jeśli tą drogą można zapanować nad wszystkimi? Odkrywałem w sobie słodkie sny o ucisku.

Dowiedziałem się przynajmniej, że jestem po stronie winowajców, oskarżonych tylko w tej mierze, w jakiej ich wina nie przynosi mi żadnej szkody. Ich wina czyniła mnie wymownym, ponieważ nie byłem jej ofiarą. Kiedy sam byłem zagrożony, nie tylko stawałem się z kolei sędzią, ale więcej: popędliwym władcą, który, poza wszelkim prawem, chce zmiażdżyć delikwenta i rzucić go na kolana. Po tym, mój drogi ziomku, trudno jest nadal wierzyć serio w swoje powołanie w sądownictwie i pozostawać predestynowanym obrońcą wdowy i sieroty.

Ponieważ ulewa się wzmaga i mamy czas, czy mógłbym panu zwierzyć nowe odkrycie, którego wkrótce potem dokonałem w pamięci? Siądźmy na tej osłoniętej ławce. Od wieków palacze fajek patrzą na ten sam deszcz spadający do tego samego kanału. To, co mam panu do powiedzenia jest nieco trudniejsze. Tym razem chodzi o kobietę. Trzeba wpierw wiedzieć, że zawsze i bez wielkiego wysiłku udawało mi się z kobietami. Nie powiadam, że udawało mi się je uszczęśliwić, ani nawet, że dzięki nim byłem szczęśliwy. Nie, udawało mi się, po prostu. Osiągałem cel mniej więcej wtedy, kiedy chciałem. Uważano, że jestem czarujący, niech pan sobie wyobrazi! Pan wie, co to czar: sposób, żeby odpowiedziano ci: tak, gdy ty nie stawiasz żadnego wyraźnego pytania. Tak było wówczas ze mną. To pana zdumiewa? Proszę, niech pan nie przeczy. To naturalne, skoro mam taką twarz jak teraz. Niestety, w pewnym wieku każdy człowiek jest odpowiedzialny za swoją twarz. Moja... Ale mniejsza z tym! Tak to wyglądało, uważano mnie za czarującego i ja z tego korzystałem.

Z mojej strony nie było w tym jednak żadnego wyrachowania; działałem w dobrej wierze lub niemal w dobrej wierze. Moje stosunki z kobietami były naturalne, dogodne, łatwe, jak to się powiada. Nie wchodził tu w grę żaden podstęp lub tylko ów jawny

podstęp, który one uważają za hołd. Kochałem je, jak mówi uświęcona formuła, co wychodzi na to, że nigdy nie kochałem żadnej. Zawsze byłem zdania, że pogarda dla kobiet jest rzeczą wulgarną i głupią, i niemal wszystkie kobiety, jakie znałem, uważałem za lepsze od siebie. Ale stawiając je tak wysoko, częściej korzystałem z nich, niż im służyłem. Jakże się w tym połapać?

Rzecz prosta, że prawdziwa miłość jest czymś wyjątkowym, zdarza się mniej więcej dwa albo trzy razy na wiek. Poza tym próżność lub nuda. W każdym razie, jeśli idzie o mnie, nie byłem Portugalską Zakonnica. Nie mam oschłego serca, daleko do tego; przeciwnie, pełne rozrzewnienia i przy tym łatwo łzę w oku. Tylko że moje porywy zwracały się zawsze ku mnie, moje rozrzewnienia mnie dotyczyły. Ale w końcu jest nieprawdą, że nigdy nie kochałem. Miałem w życiu przynajmniej jedną wielką miłość, której sam byłem przedmiotem. Z tego punktu widzenia, po nieuniknionych trudnościach młodego wieku, rychło wiedziałem, czego się trzymać: zmysłowość, i ona jedynie, panowała w moim życiu miłosnym. Szukałem tylko obiektów przyjemności i podboju. Wspomagała mnie zresztą moja kompleksja: natura była dla mnie szczodra. Byłem z tego niemało dumny i miałem wiele satysfakcji, o których nie potrafię powiedzieć, czy płynęły z przyjemności, czy z omamienia. Dobrze, powie pan, że chwale się wciąż jeszcze. Nie zaprzeczę i jestem o tyle mniej dumny, że chełpię się tu czymś, co jest prawdą.

W każdym razie moja zmysłowość, żeby mówić tylko o niej, była tak niepokonana, że nawet dla przygody trwającej dziesięć minut wyrzekłbym się ojca i matki, wiedząc, że będę tego gorzko żałować. Co mówię! Przede wszystkim dla przygody trwającej dziesięć minut i więcej nawet, gdybym miał pewność, że będzie bez jutra. Miałem oczywiście zasady, na przykład, że żony przyjaciół są nietykalne. Po prostu, z całą szczerością przestawałem czuć przyjaźń dla mężów kilka dni wcześniej. Może nie powinienem nazywać tego zmysłowością? Zmysłowość nie jest odrażająca. Bądźmy pobłażliwi i mówmy o kalectwie, o rodzaju dziedzicznej niezdolności zobaczenia w miłości czegoś innego prócz tego, co się w niej robi. To kalectwo było zresztą wygodne. Połączone z darem zapomnienia sprzyjało mojej wolności. Jednocześnie stwarzając pozory oddalenia i niezachwianej niezależności, dostarczało okazji do nowych sukcesów. Ponieważ nie byłem romantyczny, mogłem dostarczać solidnej stawy romantycznym uczuciom. Nasze przyjaciółki łączy z Bonapartem przekonanie, że powiedzie im się tam, gdzie nikomu się

nie udało.

W tym obcowaniu zresztą zaspokajałem nie tylko moją zmysłowość, ale i moje upodobanie do gry. Lubilem w kobietach partnerki pewnej gry, której smak przynajmniej był niewinny. Widzi pan, nie mogę znieść nudy i cenię w życiu tylko rozrywki. Wszelkie towarzystwo, nawet świetne, nuży mnie szybko, nigdy zaś nie nudziłem się z kobietami, które mi się podobały. Niełatwo mi wyznać, że oddałbym dziesięć rozmów z Einsteinem za pierwsze spotkanie z ładną statystką. Co prawda, przy dziesiątym spotkaniu wzdychałbym za Einsteinem lub za tęgą książką. W sumie dbałem o wielkie problemy tylko w przerwach między moją małą rozpustą. Ileż razy na ulicy, podczas namiętnej dyskusji z przyjaciółmi, gubiłem wątek wykładanego mi rozumowania, ponieważ w tej samej chwili przechodziła obok nas ponętna dziewczyna!

Grałem więc w tę grę. Wiedziałem, że kobiety nie lubią, żeby iść zbyt szybko do celu. Wpierw trzeba rozmów, czułości, jak one powiadają. Będąc adwokatem, nie miałem kłopotów z mowami; ani ze spojrzeniami, w pułku bowiem terminowałem jako aktor. Często zmieniałem rolę; ale była to wciąż ta sama sztuka. Na przykład numer z niepojętą siłą przyciągającą, "nie wiem, co to jest", "nie pojmuję, nie chciałem, jestem przecież zmęczony miłością itd.", zawsze odnosił skutek, chociaż należy do najstarszych w repertuarze. Był również numer z tajemniczym szczęściem, którego nie dała ci żadna inna kobieta; to szczęście może nie ma przyszłości, nawet na pewno (nigdy bowiem dość zabezpieczeń), ale ono właśnie jest niezastąpione. Do doskonałości doszedłem zwłaszcza w małej tyradzie, zawsze dobrze przyjmowanej, której pan przykłaśnie, jestem tego pewien. Sens tej tyrady polegał na bolesnym i pełnym rezygnacji stwierdzeniu, że jestem niczym, że nie warto przywiązywać się do mnie, moje życie jest gdzie indziej, nie mija mi w szczęściu codziennym, które może wolałbym nad wszystko inne, ale cóż, jest za późno. Nie zdradzałem przyczyny tego nieodwołalnego spóźnienia wiedząc, że lepiej jest spać z tajemnicą. W pewnym sensie wierzyłem zresztą w to, co mówiłem, przeżywałem swoją rolę. Nic więc dziwnego, że również moje partnerki zaczęły grać z pewną werwą. Najbardziej czułe z nich usiłowały mnie zrozumieć i ten wysiłek prowadził je do melancholijnych zapomnień. Inne, widząc z zadowoleniem, że szanuję reguły gry i jestem dość delikatny by mówić, zanim przystąpię do działania, nie czekając przechodziły do rzeczy. Wygrywałem wówczas podwójnie, ponieważ prócz pragnienia, którego były przedmiotem, zaspokajałem miłość, jaką miałem dla siebie, za każdym razem znajdując

potwierdzenie mej pięknej władzy.

Jest to tak bardzo prawdziwe, że jeśli niektóre z nich dawały mi tylko mierną przyjemność, od czasu do czasu usiłowałem znowu nawiązać z nimi stosunki, zapewne wskutek tego szczególnego pragnienia, któremu sprzyja nieobecność i nagle odnaleziona współ wina; także dlatego, by upewnić się, że nasze węzły są trwałe i że ode mnie tylko zależy, by je zacieśnić. Niekiedy żądałem nawet od nich przysięgi, że nie będą należały do żadnego innego mężczyzny, by raz na zawsze rozwiąć własny niepokój. Serce jednak nie brało udziału w tym niepokoju, ani nawet wyobraźnia. Pewien rodzaj uroszczeń tak głęboko tkwił we mnie, iż wbrew oczywistości nie mogłem sobie wyobrazić, żeby kobieta, która była moją, mogła należeć kiedykolwiek do kogo innego. Ale te przysięgi, które mi składały, wiążąc je, mnie czyniły wolnym. Od chwili kiedy wiedziałem, że nie będą należały do nikogo, mogłem zdecydować się na zerwanie, co w innym wypadku było dla mnie niemal zawsze niemożliwe. Zdobywałem pewność, moja władza utwierdzała się na długo. Ciekawe, co? A jednak tak jest, mój drogi ziomku. Jedni wołają: "Kochaj mnie!" Inni: "Nie kochaj mnie!" Ale pewien rodzaj, najgorszy i najbardziej nieszczęśliwy: "Nie kochaj mnie i bądź mi wierna!"

Tylko że pewność nigdy nie jest ostateczna, z każdą istotą trzeba zaczynać na nowo. Dzięki temu nabiera się przyzwyczajęń. Wkrótce mówisz nie myśląc o tym, za mową idzie refleks: pewnego dnia znajdujesz się w sytuacji, kiedy bierzesz, nie pragnąc naprawdę. Niech mi pan wierzy, że nie wziąć tego, czego się nie pragnie, jest rzeczą najtrudniejszą w świecie, przynajmniej dla pewnych osób.

To właśnie zdarzyło się pewnego razu i nie muszę panu mówić, kim ona była, prócz tego, że interesując mnie raczej umiarkowanie, przyciągnęła mnie swym biernym i zachłannym wyrazem. Jak należało się spodziewać, było to średnie, jeśli mam być szczerzy. Ale nigdy nie miałem kompleksów i zapomniałem szybko o osobie, z którą nie widywałem się potem. Myślałem, że nie zorientowała się w niczym, i nie wyobrażałem sobie nawet, że ma jakikolwiek pogląd. Zresztą jej bierny wyraz w moim mniemaniu usuwał ją ze świata. W kilka tygodni potem dowiedziałem się jednak, że zwierzyła się komuś trzeciemu z moich niedostatków. Nagle doznałem uczucia, że zostałem trochę zdradzony; nie była tak bierna, jak przypuszczałem, i miała własny sąd. Potem wzruszyłem ramionami i udałem, że się śmieję. Śmiałem się nawet naprawdę: było jasne, że to incydent bez znaczenia. Czy sprawy seksualne wraz z tym wszystkim, co jest w nich

nieprzewidzianego, nie są tą dziedziną, gdzie skromność powinna być regułą? Wzruszałem ramionami, ale jakie było naprawdę moje zachowanie? Nieco później spotkałem znów tę kobietę, zrobiłem, co należy, żeby ją uwieść i osiąść naprawdę. Nie było to zbyt trudne: one też nie lubią zostawać przy porażce. Od tej chwili, nie chcąc tego wyraźnie, w istocie zacząłem ją upokarzać na wszelkie sposoby. Porzucałem ją i brałem znowu, zmuszałem, by oddawała się, gdy ani czas, ani miejsce nie były po temu, traktowałem ją w sposób tak brutalny, że w końcu przywiązałem się do niej, jak przywiązuje się, wyobrażam to sobie, strażnik do swego więźnia. I trwało to do dnia, kiedy w gwałtownym bezładzie bolesnej i wymuszonej rozkoszy głośno złożyła hołd temu, co ją ujarzmiło. Od tego dnia zacząłem oddalać się od niej. Potem o niej zapomniałem.

Mimo pańskiego uprzejmego milczenia zgodzę się z panem, że ta przygoda nie jest zbyt olśniewająca. Niech pan jednak pomyśli o swoim życiu, mój drogi ziomku! Niech pan poszuka w pamięci, może znajdzie pan jakąś podobną historię, którą mi pan później opowie. Co do mnie, kiedy ta sprawa przychodzi mi na myśl, jeszcze się śmieję. Ale jest to inny śmiech, dość podobny do śmiechu, który usłyszałem na moście des Arts. Śmiałem się z tego, co mówiłem kobietom, i z moich adwokackich wystąpień w sądzie. Bardziej zresztą z tych wystąpień niż z tekstów wygłaszanych do kobiet. Tym przynajmniej kłamałem niewiele. Instynkt określał moje zachowanie się, mówił jasno, bez wykrętów. Akt miłosny jest wyznaniem. Egoizm tu krzyczy, próżność się odsłania albo też wychodzi, na jaw prawdziwa wielkoduszność. W tej żalosalnej historii, bardziej jeszcze niż w innych intrygach, byłem w końcu szerszy, niż myślałem, powiedziałem, kim jestem i jak mogę żyć. Mimo pozorów byłem więc bardziej uczciwy w moim życiu prywatnym, zwłaszcza kiedy zachowywałem się tak, jak panu powiedziałem, niż w wielkich uniesieniach zawodowych na temat niewinności i sprawiedliwości. Widząc, jak postępuję z ludźmi, nie mogłem się przynajmniej mylić co do swojej prawdziwej natury. Żaden człowiek nie jest hipokrytą w przyjemnościach, czytałem to czy wymyśliłem, mój drogi ziomku?

Kiedy więc zastanawiałem się nad trudnością ostatecznego zerwania z kobietą, trudnością, która prowadziła mnie do tylu równoczesnych związków, nie oskarżałem o czułość mego serca. To nie ona popychała mnie do działania, kiedy jedna z mych przyjaciółek, zmęczona czekaniem na Austerlitz naszej namiętności, mówiła, że się wycofa. Natychmiast robiłem krok naprzód, ustępowałem, stawałem się wymowny. Budziłem w kobietach czułość i słodką słabość serca, sam doznając ich tylko

powierzchni, po prostu trochę podniecony odmową, zaalarmowany też możliwą utratą przywiązania. Niekiedy sądziłem, że cierpię rzeczywiście, to prawda. Wystarczyło jednak, żeby zbuntowana odeszła, abym zapomniał o niej bez wysiłku, jak zapomniałem o niej, gdy wracała. Nie, to nie miłość ani wielkoduszność budziły mnie, kiedy groziło mi niebezpieczeństwo, że zostanę porzucony, lecz tylko pragnienie, by mnie kochano i bym mógł otrzymać to, co wedle mego mniemania było mi należne. Ledwie czułem się kochany, a moja partnerka znów zapomniana, promieniałem, było mi dobrze, stawałem się sympatyczny.

Niech pan zauważy zresztą, że ledwie miałem znów tę miłość, czułem jej ciężar. W chwilach rozdrażnienia mówiłem więc sobie, że idealnym rozwiązaniem byłaby śmierć interesującej mnie osoby. Z jednej strony, ta śmierć ostatecznie utwierdziłaby nasz związek, z drugiej, odjęłaby mu wszelki przymus. Ale nie można sobie życzyć śmierci wszystkich, ani, dochodząc do ostateczności, wyludnić ziemię, by cieszyć się wolnością niewyobrażalną inaczej. Przeciwwstawiała się temu moja czułość i miłość do ludzi.

Jedynym głębokim uczuciem, jakiego zdarzyło mi się doznać w tych miłosnych intrygach, była wdzięczność, kiedy wszystko szło dobrze i kiedy wraz ze spokojem pozostawiano mi swobodę przychodzenia i odchodzenia; nigdy nie byłem bardziej uroczy i wesół z jedną niż wówczas, kiedy opuszczałem łóżko innej, jakbym rozkładał na wszystkie kobiety dług, jaki zaciągnąłem u jednej z nich. Zresztą, mimo pozornego pomieszania uczuć, osiągałem rezultat jasny: podtrzymywałem wokół siebie wszystkie przywiązania, by nimi posłużyć się, kiedy zechcę. Mogłem więc żyć tylko pod warunkiem, co sobie zresztą uświadamiałem, że wszystkie istoty na ziemi lub możliwie największa ich ilość będą zwrócone ku mnie, wiecznie wolne, pozbawione niezależnego życia, gotowe odpowiedzieć w każdej chwili na moje wezwanie, skazane wreszcie na jałowość do dnia, kiedy raczę je oświetlić moim blaskiem. Słowem, abym żył szczęśliwy, trzeba było, żeby wybrane przeze mnie istoty nie żyły wcale. Od czasu do czasu miały otrzymywać życie z mojej łaski.

Ach, niech mi pan wierzy, nie opowiadam panu tego z zadowoleniem. Myśląc o tym czasie, kiedy żądałem wszystkiego, sam nic nie płacąc, kiedy zmobilizowałem tyle istot, aby mi służyły, kiedy w pewien sposób zamykałem je w lodówce, aby mieć je od czasu do czasu pod ręką, dla mojej wygody, nie wiem, jak nazwać szczególne uczucie, które mnie ogarnia. Czy to nie wstyd? Niech mi pan powie, drogi ziomku, czy wstyd

trochę pali? Tak? A więc to może wstyd albo jakieś z tych śmiesznych uczuć związanych z honorem. W każdym razie wydaje mi się, że to uczucie nie opuściło mnie od zdarzenia, które odnalazłem dobrze utwierdzone w pamięci; opowiadania o nim nie mogę dłużej odwlekać mimo dygresji i wysiłków inwencji, której, mam nadzieję, odda pan sprawiedliwość.

Proszę, deszcz ustał! Niech pan będzie tak dobry i odprowadzi mnie do domu. Jestem dziwnie zmęczony nie tym, że mówiłem, ale na samą myśl o tym, co muszę jeszcze powiedzieć. Zacznijmy! Kilka słów wystarczy, żeby nakreślić moje główne odkrycie. Po cóż zresztą mówić więcej? Jeśli posąg ma być nagi, piękne mowy muszą odfrunąć. A zatem, proszę. Owej listopadowej nocy, dwa albo trzy lata przed wieczorem, kiedy zdawało mi się, że słyszę śmiech za plecami, szedłem na lewy brzeg, do domu, przez most Royal. Była pierwsza po północy, padał drobny deszcz, deszczyk raczej, który wypłoszył rzadkich przechodniów. Wracalem od przyjaciółki, która na pewno już spała. Byłem szczęśliwy idąc, nieco ociężały, w spokojnym ciele płynęła krew, łagodna jak padający deszcz. Na moście przeszedłem obok jakiejś postaci przechylonej przez parapet, która, zdawało się, spogląda na rzekę. Z bardziej bliska zobaczyłem, że jest to młoda, szczupła, czarno ubrana kobieta. Pomiędzy ciemnymi włosami i kołnierzem płaszcza widać było tylko kark, świeży i wilgotny kark, jaki lubiłem. Ale po chwili wahania poszedłem dalej. Przy końcu mostu skręciłem na bulwar nadbrzeżny, idący w kierunku Saint-Michel, gdzie mieszkałem. Uszedłem mniej więcej pięćdziesiąt metrów, kiedy usłyszałem odgłos, który mimo odległości wydał mi się w nocnej ciszy straszny, odgłos ciała spadającego do wody. Stałem natychmiast, ale nie odwróciłem się. Niemal jednocześnie usłyszałem krzyk powtórzony kilka razy, który też schodził rzeką, potem zgasł nagle. Cisza, która nastąpiła w zakrzepłej nagle nocy, wydała mi się bezmierna. Chciałem biec i nie ruszałem się z miejsca. Drżałem z zimna i przejęcia. Mówiłem sobie, że trzeba szybko działać, i czułem, jak neodparta słabość ogarnia moje ciało. Zapomniałem, co myślałem wówczas. "Za późno, za daleko..." albo coś w tym rodzaju. Wciąż słuchałem nie ruszając się z miejsca. Potem, pod deszczem, oddaliłem się z wolna. Nie uprzedziłem nikogo.

Przyszliśmy na miejsce, oto mój dom, moje schronienie! Jutro? Tak, jak pan zechce. Zaprowadzę pana chętnie na wyspę Marken, zobaczy pan Zuyderzee. O jedenastej w "Mexico-City". Co? Ta kobieta? Ach, nie wiem, doprawdy nie wiem. Ani

nazajutrz, ani przez następne dni nie czytałem gazet.

Wioska jak dla lalki, prawda? Nie brak jej malowniczości. Ale nie zaprowadziłem pana na tę wyspę dla malowniczości, drogi przyjacielu. Każdy potrafi wzbudzić pański podziw dla czepców, sabotów i zdobionych domów, gdzie rybacy palą lekki tytoń wśród zapachu zaprawy do podłóg. Ja natomiast należę do tych nielicznych, którzy mogą panu pokazać, co tu jest ważnego.

Zbliżamy się do grobli. Pójdziemy nią, byle oddalić się jak najbardziej od tych nazbyt uroczych domów. Siądźmy tutaj. Co pan mówi? Proszę, oto jeden z najpiękniejszych negatywnych pejzaży! Niech pan popatrzy na tę górę popiołu z lewej strony, którą nazywają tu wydumą, na szarą groblę z prawej strony, na siny piach u naszych stóp, na morze koloru lekkich mydlin przed nami, na ogromne niebo, w którym odbija się blada woda. Wilgotne piekło, doprawdy! Same linie poziome, żadnego blasku, przestrzeń bez koloru, martwe życie. Czy nie jest to przekreślenie wszystkiego, niebyt widoczny dla oka? Nade wszystko zaś nie ma, nie ma ludzi. Pan i ja tylko, w obliczu pustej wreszcie planety! Niebo żyje? Ma pan rację, drogi przyjacielu. Niebo staje się gęstsze, potem się wydrąża, otwiera powietrzne schody, zamyka bramy z chmur. To gołębie. Czy zauważył pan, że niebo Holandii zapełniają miliony gołębi, niewidocznych, tak są wysoko; biją skrzydłami, wznoszą się do góry i opadają na dół tym samym ruchem, napęniając przestrzeń niebieską gęstymi falami szarych piór, które wiatr unosi lub przywiewa z powrotem. Gołębie czekają w górze, czekają przez cały rok. Krążą nad ziemią, patrzą, chciałyby zejść. Ale jest tylko morze i kanały, dachy pokryte szyldami i ani jednej głowy, gdzie można by spocząć.

Nie rozumie pan, co chcę powiedzieć? Przyznam się panu, że jestem zmęczony. Tracę wątek, nie mam już tej jasności umysłu, którą podziwiali moi przyjaciele. Powiadam zresztą: moi przyjaciele dla zasady. Nie mam już przyjaciół, mam tylko współników. W zamian za to ich liczba się powiększyła, jest to rodzaj ludzki. Wśród nich pan pierwszy. Ten, kto jest tuż, zawsze jest pierwszy. Skąd wiem, że nie mam przyjaciół? To bardzo proste: odkryłem to owego dnia, kiedy miałem zamiar się zabić, żeby im wypłatać figła, żeby ich ukarać w pewien sposób. Ale kogo ukarać? Niektórzy byliby

zdumieni; nikt nie czułby się ukarany. Zrozumiałem, że nie mam przyjaciół. Zresztą, gdybym ich nawet miał, nie zyskałbym wiele na tym. Jeślibym mógł popełnić samobójstwo i zobaczyć potem ich twarze, tak, wtedy gra byłaby warta świeczki. Ale ziemia jest czarna, drogi przyjacielu, drzewo grube, całun nieprzezroczysty. Oczy duszy, tak, bez wątplenia, jeśli jest dusza i jeśli ma ona oczy! Ale cóż, nie ma pewności, nigdy nie ma pewności. W przeciwnym razie byłoby wyjście, człowieka można by wreszcie brać na serio. Tylko śmierć przekona ludzi o pańskich racjach, pańskiej szczeroci, powadze pańskich trosk. Jak długo pan żyje, pański wypadek jest wątpliwy, ma pan prawo jedynie do ich sceptycyzmu. Gdyby mieć pewność, że można będzie nacieszyć się widokiem, warto by było dowieść im tego, w co nie chcą wierzyć, i zadziwić ich. Ale pan się zabije i cóż to znaczy, czy panu wierzą, czy nie: nie ma już pana, żeby przyjąć ich zdziwienie i skruchę, przelotną zresztą, i, zgodnie z marzeniem każdego człowieka, być na swym własnym pogrzebie. Żeby przestano w nas wątpić, musimy przestać istnieć, po prostu.

Zresztą, czy tak nie jest lepiej? Zbyt cierpielibyśmy z powodu ich obojętności. "Zapłacisz mi za to!", mówiła córka do ojca, który nie dopuścił do jej małżeństwa ze zbyt starannie uczesany konkurentem. I zabiła się. Ale ojciec nic zgoła nie zapłacił. Przepadał za łowieniem ryb na wędkę. W trzy tygodnie potem wrócił nad rzekę, żeby zapomnieć, jak powiadał. Rachował dobrze: zapomniał. Prawdę mówiąc byłoby dziwne, gdyby stało się inaczej. Ktoś sądzi, że jego śmierć będzie karą dla żony, i zwraca jej wolność. Lepiej tego nie widzieć. Nie mówiąc już o tym, że można by jeszcze usłyszeć, jak tłumaczą nasz gest. Jeśli o mnie idzie, słyszę ich głosy: "Zabił się, ponieważ nie mógł znieść..." Ach, drogi przyjacielu, jak ludzie są ubodzy w pomysły! Zawsze sądzą, że popełnia się samobójstwo z jednego powodu. Ale można doskonale zabić się dla dwóch powodów. Nie, to im nie przychodzi do głowy. Po cóż więc umierać z własnej woli, poświęcać się dla wyobrażenia, jakie chce się dać o sobie. Pan nie żyje, oni zaś skorzystają z pańskiej śmierci, żeby uzasadnić pański gest w sposób idiotyczny lub wulgarny. Męczennicy, drogi przyjacielu, powinni zgodzić się na zapomnienie, kpiny lub korzyść, jaką mają z nich ludzie. Nigdy nie będą zrozumiani. Idźmy zresztą prosto do celu, kocham życie, oto moja prawdziwa słabość. Kocham je tak bardzo, że w najmniejszym stopniu nie wyobrażam sobie tego, co nie jest życiem. Taka zachłanność ma w sobie coś plebejskiego, nie uważa pan? Arystokracja jest nie do pomyślenia bez odrobiny dystansu do samej siebie i swego życia. Umrzeć, jeśli trzeba, skończyć raczej niż

się ugiąć. Ale ja się uginam, ponieważ nadal siebie kocham. Proszę, jak pan myśli, co stało się po tym wszystkim, co panu opowiedziałem? Nabrałem obrzydzenia do siebie? Skądże znowu, obrzydzenie czułem przede wszystkim do innych. Oczywiście, znałem swoje słabości i ubolewałem nad nimi. Mimo to zapominałem o nich z uporem dość chwalebny. W moim sercu natomiast wciąż odbywał się proces innych. To pana razi? Myśli pan może, że to nielogiczne? Ale rzecz nie polega na tym, żeby zachować logikę. Rzecz polega na tym, żeby się prześliznąć, nade wszystko zaś, o tak, nade wszystko uniknąć sądu. Nie powiadam: uniknąć kary. Można bowiem znieść karę bez sądu. Jest zresztą słowo, które gwarantuje naszą niewinność: nieszczęście. Nie, przeciwnie, chodzi o to, by uniemożliwić sąd, uniknąć tego, by stale być sądzonym, gdy nigdy nie zostanie ogłoszony wyrok.

Ale nie jest to takie łatwe. W dzisiejszych czasach do sądenia jesteście nieustannie gotowi, tak samo jak do nierządu. Z tą różnicą, że tu można nie obawiać się słabości. Jeśli pan w to wątpi, niech pan posłucha rozmów przy stole w sierpniu, w owych pensjonatach wypoczynkowych, dokąd nasi miłośni ziomkowie przyjeżdżają leczyć się z nudy. Jeśli pan waha się jeszcze z wnioskiem, niech pan czyta pisma wielkich ludzi naszej epoki. Albo niech pan przyjrzy się własnej rodzinie, będzie pan zbudowany. Mój drogi przyjacielu, nie dawajmy im pretekstu do sądenia nas, nawet najmniejszego! Inaczej jesteście od razu w kawałkach. Musimy stosować te same środki ostrożności co pogromca dzikich zwierząt. Jeśli ma nieszczęście skaleczyć się brzytwą przed wejściem do klatki, jaka ucztą dla bestii! Zrozumiałem to w lot owego dnia, kiedy przyszło mi na myśl, że może nie jestem znowu tak godzien podziwu. Odtąd stałem się nieufny. Skoro krwawiłem trochę, będą mieli mnie całego: rozszarpią mnie.

Moje stosunki z ludźmi z pozoru były takie same jak dawniej, a jednak nastąpił lekki rozdźwięk. Przyjaciele nie zmienili się. Przy okazji nadal chwalili harmonię i poczucie bezpieczeństwa, jakie znajdowali w moim towarzystwie. Ale byłem wrażliwy jedynie na dysonanse, na bezład, który mnie wypełniał; czułem, że można mnie zranić, że jestem wydany na oskarżenie publiczne. Moi bliźni przestali być szanującym mnie audytorium, do jakiego byłem przyzwyczajony. Pękł krąg, którego byłem ośrodkiem, a oni umieścili się w jednym rzędzie, jak w trybunale. Od chwili, gdy zacząłem się lękać, że jest we mnie coś, co można by osądzić, pojąłem, że mają oni nieodparte powołanie do sądenia. Tak, byli obok, jak dawniej, ale śmiali się. Albo raczej odnosiłem wrażenie, że

każdy, kogo spotykałem, patrzył na mnie ze skrywanym śmiechem. W tym okresie zdawało mi się nawet, że podstawiają mi nogę. Kilka razy rzeczywiście potknąłem się bez powodu wchodząc do miejsc publicznych. Pewnego razu upadłem nawet. Kartezjański Francuz, jakim jestem, zebrał się szybko i przypisał to wydarzenie jednemu rozsądnemu bóstwu, to znaczy przypadkowi. Mimo to pozostała mi nieufność.

Moja uwaga została rozbudzona, bez trudu więc odkryłem, że mam nieprzyjaciół. Przede wszystkim na gruncie zawodowym, a poza tym w życiu towarzyskim. Jednych zobowiązałem wobec siebie. Innych musiałem zobowiązać. Wszystko to razem było w porządku rzeczy i stwierdziłem to bez wielkiego smutku. Natomiast trudniej i boleśniej było mi się zgodzić, że mam wrogów wśród ludzi, których znam mało lub wcale. Myślałem zawsze z naiwnością, której kilka dowodów panu dałem, że ci, co mnie nie znali, nie mogliby mnie nie pokochać, gdyby nawiązali ze mną stosunki. Otóż nie! Spotykałem się z nienawiścią tych przede wszystkim, którzy znali mnie z daleka, ja zaś ich wcale nie znałem. Niewątpliwie podejrzewali mnie o to, że żyję pełnym życiem i oddany szczęściu: tego się nie wybacza. Mina zadowolona, jeśli nosi się ją w pewien sposób, mogłaby osła doprowadzić do wściekłości. Z drugiej strony, moje życie było wypełnione po brzegi i z braku czasu odrzucałem wiele awansów. Z tego samego powodu zapomniałem potem o moich odmowach. Ale te awanse czynili mi ludzie, których życie nie było wypełnione i którzy dlatego właśnie pamiętali mi odmowę.

Tak więc, żeby przytoczyć tylko jeden przykład, kobiety kosztowały mnie w końcu drogo. Nie mogłem ofiarować mężczyznom czasu, który poświęcałem kobietom, a oni nie zawsze mi to wybacжали. Jakie znaleźć tu wyjście? Szczęście i sukcesy wybaczą panu tylko wówczas, jeśli zgodzi się pan dzielić je wspaniałomyślnie. Ale żeby być szczęśliwym, nie trzeba zbytnio zajmować się innymi. Wyjścia są więc zamknięte. Szczęśliwy i sądzony albo wolny od sądu i nieszczęśny. Jeśli idzie o mnie, niesprawiedliwość była jeszcze większa: zostałem skazany za szczęście minione. Długo żyłem w złudzeniu powszechnej harmonii, gdy ze wszystkich stron spadały na mnie – roztargnionego i uśmiechniętego – sądy, strzały i kpiny. Od dnia, kiedy zostałem zaalarmowany, wróciła mi jasność widzenia, wszystkie rany zadano mi jednocześnie i straciłem siły za jednym zamachem. Wówczas cały świat wokół mnie wybuchnął śmiechem.

Tego właśnie żaden człowiek (prócz tych, którzy nie żyją, to znaczy mędrców) nie może znieść. Jediną obroną jest złośliwość. Ludzie zaczynają więc sądzić, żeby sami nie

byli sądzeni. Cóż pan chce? Najbardziej naturalna myśl człowieka, która przychodzi doń naiwnie, niejako z głębi jego natury, to myśl o własnej niewinności. Z tego punktu widzenia wszyscy jesteśmy jak ów Francuzik, który upierał się w Buchenwaldzie, że musi złożyć reklamację na ręce pisarza, również więźnia, rejestrującego jego przybycie. Reklamację? Pisarz i jego towarzysze śmiali się: "To nie przyda się na nic, mój stary. Tutaj nie składa się reklamacji." "Bo widzi pan, odparł Francuzik, mój wypadek jest wyjątkowy. Ja jestem niewinny!"

Wszyscy jesteśmy wyjątkowymi wypadkami. Wszyscy chcemy odwołać się do czegoś! Każdy żąda dla siebie niewinności za wszelką cenę, nawet jeśli dla tego miałby oskarżyć rodzaj ludzki i niebo. Niezbyt ucieszy pan człowieka chwając wysiłki, dzięki którym stał się inteligentny czy wielkoduszny. Ale sprawi mu pan radość, jeśli będzie pan podziwiał jego naturalną wielkoduszość. Na odwrót, jeśli powie pan zbrodniarzowi, że jego wina nie wynika ani z jego natury, ani z charakteru, ale ze zbiegu okoliczności, będzie panu ogromnie wdzięczny. Podczas obrony sądowej wybierze nawet ten moment, żeby zapłakać. A jednak nie ma zasługi w tym, że ktoś jest uczciwy czy inteligentny z urodzenia. Podobnie człowiek nie ponosi większej odpowiedzialności za to, że jest zbrodniarzem z natury, niż za to, że jest nim wskutek okoliczności. Ale te łotry chcą łaski, to znaczy chcą być wolni od odpowiedzialności i bezwstydnie szukają usprawiedliwienia w naturze lub wytłumaczenia w okolicznościach, nawet jeśli są one sprzeczne. Chodzi głównie o to, żeby byli niewinni, żeby ich cnoty, z jakimi przyszli na świat, nie mogły być podawane w wątpliwość, a ich błędy, mające źródło w chwilowym nieszczęściu, było tylko tymczasowe. Powiedziałem panu: rzecz w tym, żeby uniemożliwić sąd. Ponieważ jest to trudne, ponieważ sprawić, żeby podziwiano nas i wybaczano nam jednocześnie naszą naturę, to rzecz nader delikatna, wszyscy chcą być bogaci. Dlaczego? Zadawał pan sobie to pytanie? Bo to daje potęgę, oczywiście. Ale przede wszystkim dlatego, że bogactwo chroni przed natychmiastowym sądem. Wylacza pana z tłumu w metrze, żeby zamknąć w niklowanym aucie, izoluje w wielkich, strzeżonych parkach, w sypialnych wagonach, w luksusowych kabinach. Bogactwo, drogi przyjacielu, to nie jest jeszcze uniewinnienie, ale odroczenie wyroku, zawsze wygodne...

Przed wszystkim niech pan nie wierzy przyjaciółom, kiedy poproszą, żeby był pan z nimi szczery. Spodziewają się tylko, że podtrzyma ich pan w dobrym mniemaniu o sobie, dostarczając dodatkowego upewnienia, które daje im pańska obietnica szczerości.

Jak szczerść mogłaby być warunkiem przyjaźni? Upodobanie do prawdy za wszelką cenę jest namiętnością, która nie oszczędza niczego i przed którą nic się nie osto. Jest to wada, czasem wygoda albo egoizm. Jeśli więc znajdzie się pan w takiej sytuacji, niech pan się nie waha: niech pan przyrzeknie prawdę i kłamię możliwie najlepiej. Zaspokoi pan ich głębokie pragnienie i dowiedzie po dwakroć swego przywiązania.

Jest to tak bardzo prawdziwe, że rzadko zwiemy się ludziom lepszym od nas. Unikamy raczej ich towarzystwa. Na odwrót, najczęściej spowiadamy się przed tymi, którzy są do nas podobni i mają te same wady. Nie pragniemy się poprawić ani stać się lepszymi: wpiery musiałyby zostać osądzone nasze słabości. Chcemy tylko, żeby nas zachęcano do kroczenia naszą drogą. Słowem, chcemy jednocześnie nie być winni i nie czynić wysiłku, żeby się oczyścić. Nie mamy ani dość cynizmu, ani dość cnoty. Ani energii zła, ani dobra. Czy zna pan Dantego? Doprawdy? Do licha. Wie pan więc, że Dante wprowadza anioły bierne do walki między Bogiem a Szatanem. I umieszcza je w Przedpieklu, które jest rodzajem przedsionka do piekła. Jesteśmy w przedsionku, drogi przyjacielu.

Cierpliwości? Ma pan bez wątpienia słuszność. Trzeba nam cierpliwości w czekaniu na sąd ostateczny. Ale my się spieszymy. Spieszymy się tak bardzo, że musiałem zostać sędzią-pokutnikiem. Należało jednak wpiery dojść do ładu ze swymi odkryciami i dać sobie radę ze śmiechem współczesnych. Począwszy od wieczora, kiedy zostałem powołany, zostałem bowiem rzeczywiście powołany, musiałem dać odpowiedź albo przynajmniej szukać odpowiedzi. To nie było łatwe; błdziłem długo. Najpiery trzeba było, żeby ten ciągły śmiech i śmiejący się nauczyli mnie czytać w sobie z większą jasnością, pomogli odkryć, że daleko mi do prostoty. Niech pan się nie uśmiecha, ta prawda nie jest tak oczywista, jak się panu wydaje. Oczywistymi prawdami nazywamy te, które odkrywa się po wszystkich innych, tylko tyle.

W każdym razie po długich studiach nad sobą odkryłem głęboką dwoistość człowieka. Szukając w pamięci zrozumiałem wówczas, że skromność pomaga mi błyszczeć, pokora zwyciężać, a cnota uciskać. Prowadziłem wojnę pokojowymi środkami i dzięki bezinteresowności osiągałem w końcu wszystko, czego pragnałem. Nie skarżyłem się na przykład nigdy, że zapominano o dacie moich urodzin; moja dyskrecja pod tym względem budziła zdumienie, w którym był odcień podziwu. Ale powód mojej bezinteresowności był jeszcze bardziej dyskretny: chciałem być zapomniany, bym mógł

się uzalać sobie samemu. Na wiele dni przed najślawniejszą z dat, którą dobrze znałem, byłem już na czatach, pilnując, żeby nie zdradzić się z niczym, co mogłoby obudzić uwagę i pamięć tych, których słabość dyskutowałem (czy pewnego razu nie chciałem zamienić kartek w kalendarzu domowym?). Kiedy dowiedziałem już sobie, że jestem samotny, mogłem oddać się urokom męskiego smutku.

Wierzch wszystkich moich cnót miał więc podszewkę mniej imponującą. W innym sensie, co prawda, przywary obracały się na moją korzyść. Musiałem na przykład ukrywać występłą stronę swego życia i to nadawało mi wyraz chłodu, który brano za wyraz cnoty; kochano mnie za obojętność, mój egoizm osiągał punkt kulminacyjny, gdy byłem wielkoduszny. Poprzestaną na tym: zbyt symetria zaszkodziłaby niemu wywodowi. Ale cóż, udawałem niezłomnego, a nigdy nie potrafiłem się oprzeć, jeśli nastroczała się okazja wypicia kieliszka lub zdobycia kobiety. Uchodziłem za czynnego, energicznego, gdy moim królestwem było łóżko. Wołałem głośno o mej lojalności, a sądzę, że nie ma ani jednej istoty, którą bym kochał i której bym w końcu nie zdradził. Oczywiście, moje zdrady nie stały na przeszkodzie wierności, odwalilem kawał roboty, ponieważ byłem gnuśny i nigdy nie przestałem pomagać bliźnim, ponieważ znajdowałem w tym przyjemność. Ale na próżno powtarzałem sobie te oczywiste rzeczy, pocieszenie było tylko powierzchowne. W pewne poranki doprowadzałem proces przeciw sobie do końca i dochodziłem do wniosku, że celuję przede wszystkim w pogardzie. Ci, którym najczęściej pomagałem, byli najbardziej pogardzani. Uprzejmie, z solidarnością pełną wzruszenia plułem co dzień w twarz wszystkim ślepcom.

Szczerze mówiąc, czy jest dla tego usprawiedliwienie? Owszem, lecz tak nędzne, że nie marzę nawet, żeby mogło coś znaczyć. W każdym razie, oto ono: nigdy nie mogłem uwierzyć naprawdę, że sprawy ludzkie są sprawami serio. Gdzie są sprawy serio, tego nie wiedziałem, prócz tego, że nie ma ich w tym wszystkim, co miałem przed oczyma i co zdawało mi się jedynie grą zabawną lub uprzykrzoną. Doprawdy są wysiłki i przekonania, których nigdy nie rozumiałem. Patrzyłem zawsze ze zdumionym i nieco podejrzliwym wyrazem na te dziwne istoty, które zabijały się dla pieniędzy, rozpaczały z powodu utraty "sytuacji" i ze szlachetną miną poświęcały się dla szczęścia rodziny. Lepiej rozumiałem przyjaciela, który wbił sobie do głowy, że przestanie palić, i osiągnął to dzięki sile woli. Pewnego ranka otworzył gazetę, przeczytał, że wybuchła pierwsza bomba H, zebrał wiadomości o jej cudownym działaniu i bez chwili zwłoki udał się do tytoniowego sklepu.

Zapewne, udawałem niekiedy, że biorę życie na serio. Ale bardzo szybko dostrzegałem błahość tego "serio" i nadal grałem tylko swoją rolę, jak umiałem. Udawałem, że jestem pożyteczny, inteligentny, cnotliwy, obywatelski, oburzony, wyrozumiały, samotny, budujący... Dość na tym, pan już zrozumiał, że byłem jak moi Holendrzy, którzy są tutaj i nie ma ich: byłem nieobecny w chwili, gdy zajmowałem najwięcej miejsca. Szczerość i entuzjazm przejawiałem jedynie w sporcie i w pułku, gdy grałem w sztukach, które wystawialiśmy dla własnej przyjemności. W obu wypadkach obowiązywała reguła gry, która nie była poważna i którą dla zabawy brano za poważną. Teraz jeszcze niedzielny mecz na stadionie wypełnionym po brzegi i teatr, który uwielbiałem nade wszystko w świecie, są jedynymi miejscami, gdzie czuję się niewinny.

Ale kto mógłby się zgodzić, że taka postawa jest słuszna, jeśli chodzi o miłość, śmierć albo zarobki biedaków? Co jednak robić? Miłość Izoldy wyobrażałem sobie tylko w książkach i na scenie. Zdawało mi się czasem, że konający są przejęci swymi rolami. Odpowiedzi moich ubogich klientów przypominały mi zawsze ten sam tekst. Odtąd, skoro żyłem między ludźmi, których zainteresowań nie podzielałem, nie mogłem wierzyć we własne zaangażowanie. Byłem dość uprzejmy i dość gnuśny, żeby nie zawieść ich oczekiwań w sprawach zawodowych, rodzinnych czy w życiu obywatelskim, ale za każdym razem czyniłem to z rodzajem roztargnienia, które w końcu psuło wszystko. Przez całe życie żyłem pod podwójnym znakiem i do moich najpoważniejszych czynów należały często te właśnie, w których brałem najmniejszy udział. Czy w końcu nie z tego właśnie powodu – czego w mojej głupocie nie mogłem sobie darować – buntowałem się z największą gwałtownością przeciwko sądowi we mnie i wokół mnie i czy nie to zmusiło mnie do szukania wyjścia?

Przez pewien czas moje życie biegło z pozorów tak, jakby nic się nie zmieniło. Byłem na szynach, więc toczyłem się. Jakby naumyślnie pochwały dwoiły się wokół mnie. Stąd właśnie przyszło zło. Pan sobie przypomina: "Biada ci, jeśli wszyscy ludzie mówią dobrze o tobie!" Ach, ten mówi dobrze! Biada mi! Maszyna zaczęła więc kaprysić, zatrzymywać się z niepojętych przyczyn.

W tej to chwili myśl o śmierci wtargnęła w moje życie codzienne. Obliczałem lata, które dzieliły mnie od końca. Szukałem przykładów ludzi w moim wieku, którzy już zmarli. I niepokoiła mnie myśl, że nie wystarczy mi czasu, by wypełnić moje zadanie. Jakie zadanie? Nie miałem pojęcia. Szczerze mówiąc, czy warto było ciągnąć dalej to, co

robiłem? Ale nie w tym rzecz. Prześladowała mnie śmieszna obawa: nie można umrzeć nie wyznawszy swoich kłamstw. Nie Bogu ani jednemu z jego przedstawicieli; byłem ponad to, pan rozumie. Nie, chodziło mi o wyznanie złożone ludziom, przyjacielowi albo kochanej kobiecie na przykład. Inaczej, jeśli choć jedno kłamstwo zostanie ukryte w życiu, śmierć uczyni je ostatecznym. Nikt już nie dowie się prawdy, skoro jedyny, który ją zna, to zmarły, śpiący ze swoją tajemnicą. Ten absolutny mord prawdy przyprawiał mnie o zawrót głowy. Nawiasem mówiąc, dziś dostarczyłby mi raczej subtelnej przyjemności. Myśl o tym na przykład, że ja jeden znam to, czego wszyscy szukają, i że mam w domu przedmiot, za którym uganiają się na próżno trzy policje, jest po prostu rozkoszna. Ale zostawmy to. Wówczas nie znalazłem jeszcze recepty i martwiłem się.

Otrząsałem się oczywiście. Co znaczy kłamstwo człowieka w historii pokoleń i jakież to uroszczenie chcieć rzucić światło prawdy na nędzne oszustwo, zagubione w oceanie wieków jak ziarnko soli w morzu! Mówiłem sobie również, że śmierć ciała, sądząc z tego, co wiedziałem, jest sama przez się dostateczną karą i rozgrzesza ze wszystkiego. Człowiek osiąga zbawienie (to znaczy prawo do ostatecznego zniknięcia) w pocie agonii. Mimo to choroba rosła, śmierć stała wiernie u mego wezglowia, wstawałem wraz z nią i komplementy były mi coraz bardziej nieznośne. Zdawało mi się, że kłamstwo powiększa się wraz z nimi tak ogromnie, że nigdy nie dojdę z sobą do ładu.

Nadszedł dzień, kiedy nie mogłem tego znieść dłużej. Moja pierwsza reakcja była bezładna. Skoro jestem kłamcą, okażę to i rzucę moją podwójność w twarz tym wszystkim głupcom, zanim ją odkryją. Sprowokowany do prawdy, odpowiem na wezwanie. Żeby uprzedzić śmiech, chciałem skoczyć w powszechne szyderstwo. W gruncie rzeczy chodziło o to, żeby uniemożliwić sąd. Chciałem mieć śmiejących się po swojej stronie albo przynajmniej sam stanąć po ich stronie. Myślałem na przykład o tym, żeby potrącać ślepców na ulicy; i głucha, a nieoczekiwana radość, jakiej doznawałem przy tym, pozwalała mi odkryć, jak bardzo nienawidzi ich część mej duszy. Planowałem sobie na przykład, że przekłuję opony w wózkach kalek, że będę wył: "wstrętny nędzarzu!" pod rusztowaniami, na których pracują robotnicy, że będę policzkował niemowlęta w metrze. Marzyłem o tym wszystkim i nie robiłem nic albo, jeśli robiłem coś w tym rodzaju, zapominałem o tym. W każdym razie samo słowo "sprawiedliwość" doprowadzało mnie do dziwnej pasji. Siłą rzeczy używałem go nadal w moich mowach sądowych. Ale mściłem się, przeklinając publicznie ducha ludzkości; zapowiedziałem ogłoszenie

manifestu wyjaśniającego, jak bardzo uciskani uciskają przyzwoitych ludzi. Pewnego razu, kiedy jadłem langustę na tarasie restauracji i przeszkadzał mi jakiś żebrak, wezwałem kierownika lokalu, żeby go wypędził, i oklaskiwałem głośno tego miłośnika sprawiedliwości: "Pan przeszkadza, mówił. Niech pan postawi się na miejscu tych państwa!" Wyrażałem wreszcie każdemu, kto chciał słuchać, swój żal, że nie można już postępować jak pewien ziemianin rosyjski, którego charakter podziwiałem: kazał chłostać tych swoich chłopów, którzy mu się kłaniali, i tych, którzy się nie kłaniali, żeby ukarać zuchwalstwo, które w obu wypadkach wydawało mu się jednakowo bezczelne.

Przypominam sobie jeszcze gorsze rozpasanie. Zacząłem pisać *Odę do policji* i *Apoteozę gilotyny*. Uważałem za swój szczególny obowiązek regularnie odwiedzać kawiarnie, gdzie zbierali się nasi zawodowi humaniści. Dzięki mojej przeszłości przyjmowano mnie tam dobrze, rzecz prosta. Mimochodem rzucałem straszliwe słowo: "Bogu dzięki!", albo mówiłem bardziej po prostu: "Mój Boże..." Pan wie, jak nieśmiały mi komuniątkami są nasi kawiarniani ateści. Chwila osłupienia następowała po tej potworności, patrzyli na siebie zdumieni, potem wybuchała wrzawa, jedni uciekali z kawiarni, inni, oburzeni, gdakali nie słuchając, a wszyscy miotali się w konwulsjach jak diabeł w wodzie święconej.

Zapewne uważa pan to za dziecinne. A jednak te żarty miały może bardziej poważną przyczynę. Chciałem przeszkodzić w grze, nade wszystko zaś, tak, zniszczyć to pochlebne mniemanie, o którym myśl doprowadzała mnie do szału. "Człowiek taki jak pan...", mówiono mi uprzejmie, a ja bladłem. Nie chciałem już ich szacunku, skoro nie był to szacunek powszechny, a jakże mógł być powszechny, skoro nie mogłem go podzielać? Lepiej więc przykryć wszystko, sąd i szacunek, płaszczem śmieszności. Musiałem w jakiś sposób wyzwolić uczucie, które mnie dusiło. Żeby pokazać, co ma w brzuchu piękny manekin, który obnosiłem wszędzie, chciałem go strzaskać. Przypominam sobie pogadankę, którą miałem wygłosić do młodych aplikantów. Rozdrażniony niewiarygodnymi pochwałami prezesa Rady Adwokackiej, który mnie zaprezentował, nie mogłem tego znieść dłużej. Zacząłem z zapalem i uczuciem, jakich spodziewano się po mnie; bez żadnego trudu mogłem dostarczyć ich na żądanie. Aż nagle zacząłem doradzać szczególną metodę obrony. Nie chodzi mi o sposoby, mówiłem, udoskonalone przez nowoczesne inkwizycje, które sądzą jednocześnie złodzieja i uczciwego człowieka, by obciążyć drugiego zbrodniami pierwszego. Przeciwnie, chodzi

mi o to, by bronić złodzieja dowodząc zbrodni uczciwego człowieka, adwokata w danym wypadku. Jeśli idzie o ten punkt, wyłożyłem rzecz jasno:

“Przypuśćmy, że zgodziłem się bronić jakiegoś rzewnego obywatela, zabójcę z zazdrości. Zważcie, panowie przysięgli, powiedziałbym, jak powierzchowne byłoby oburzenie w przypadku, gdy dobroć naturalną mego klienta wystawiło na próbę szelmostwo płci. Na odwrót, czy nie jest większą przewiną znajdować się po tej stronie bariery, na tej oto ławce, skoro nigdy nie byłem dobry ani nie cierpiałem oszukany? Jestem wolny, przez was nie zagrożony, lecz kimże ja jestem? Despotą w pysze, kozłem w rozpuście, faraonem w złości, królem lenistwa! Nie zabiłem nikogo? Jeszcze nie, to pewne! Czy nie pozwoliłem jednak umrzeć uczciwym ludziom? Możliwe. I może gotów jestem zacząć na nowo. Lecz ten człowiek, spójrzcie na niego, nie zacznie na nowo. Wciąż jeszcze jest zdumiony, że tak dobrze mu poszło.”

Ta mowa zaniepokoiła nieco moich młodych kolegów. Po chwili zaczęli się śmiać. Uspokoił się całkowicie, kiedy przeszedłem do zakończenia i z elokwencją powołałem się na człowieka i jego domniemane prawa. Tego dnia przyzwyczajenie okazało się silniejsze.

Powtarzając te miłe wybryki zdołałem tylko zdezorientować nieco opinię publiczną. Nie rozbroiłem jej, a zwłaszcza siebie. Zdumienie, z jakim spotykałem się na ogół u moich słuchaczy, ich ukrywane zakłopotanie, dość podobne do tego, które pan okazuje – nie, proszę nie protestować – nie przyniosły mi żadnej ulgi. Widzi pan, nie wystarczy się oskarżać, żeby się uniewinnić, inaczej byłbym prawdziwym barankiem. Trzeba się oskarżać w pewien sposób, a musiałem mieć wiele czasu, żeby ów sposób udoskonalić; nie odkryłem go, zanim nie zostałem zupełnie sam.

Przedtem śmiech wciąż unosił się wokół mnie, a moje bezładne wysiłki nie potrafiły mu odebrać tej życzliwości, czułości niemal, od której cierpiałem.

Ale zdaje się, że zaczyna się przyływ. Nasz statek odjedzie wkrótce, dzień się kończy. Niech pan spojrzy, gołębie gromadzą się w górze. Cisną się jedno na drugie, ledwo się ruszają, światło gaśnie z wolna. Czy chce pan, żebyśmy umilkli, by delektować się tą nieco złowrogą porą? Naprawdę interesuje pana to, co mówię? Pan jest bardzo łaskaw. Zresztą, teraz mogę zainteresować pana rzeczywiście. Zanim wyjaśnię panu, co to są sędziowie-pokutnicy, muszę jeszcze powiedzieć panu o rozpuście i “niewygodzie”.

Pan się myli, kochany panie, statek jedzie w dobrym tempie. Zuyderzee jest morzem martwym albo prawie martwym. Ma płaskie brzegi zagubione we mgle, nie wiadomo, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy. A zatem jedziemy bez żadnego znaku orientacyjnego, nie możemy ocenić naszej szybkości. Posuwamy się i nic się nie zmienia. To nie pływanie, ale sen.

Na archipelagu greckim miałem odwrotne wrażenie. Nowe wyspy pojawiały się bez przerwy na horyzoncie. Ich kręgosłupy bez drzew zaznaczały granicę nieba, ich skalisty brzeg odcinał się dokładnie od morza. Żadnego pomieszania; w wyraźnym świetle wszystko było znakiem orientacyjnym. I gdym jechał od jednej wyspy do drugiej naszym małym statkiem, który włókł się przecież, zdawało mi się wciąż, że w dzień i w nocy skaczę po grzebieniach świeżych, krótkich fal, w wyścigu pełnym piany i śmiechu. Od tego czasu Grecja zbacza z drogi gdzieś we mnie, na skraju mej pamięci, niestrudzenie... Hm, ja zbaczam także, staję się liryczny! Proszę, niech mnie pan zatrzyma, drogi panie.

Ale skoro o tym mowa, czy zna pan Grecję? Nie? Tym lepiej. Co byśmy tam robili, pytam pana? Tam trzeba serc czystych. Czy wie pan, że w Grecji przyjaciele przechadzają się po ulicy parami trzymając się za ręce? Tak, kobiety zostają w domu i można zobaczyć mężczyzn dorosłych, szacownych, wąsatych, stąpających poważnie po chodnikach, z dłonią w dłoni przyjaciela. Na wschodzie też czasem? Zgoda. Ale niech mi pan powie, czy weźmie mnie pan za rękę na ulicach Paryża? Ach, żartuję! Zachowujemy się godnie, brud nas nadyma. Zanim pojawimy się na wyspach greckich, powinniśmy się myć długo. Powietrze jest tam czyste, morze i radość jasne. A my...

Siądźmy na tych leżakach. Jaka mgła! Zatrzymałem się, jak sądzę, przy "niewygodzie". Tak, powiem panu, o co idzie. Kiedy przestałem się już szamotać, kiedy wyczerpałem bezcelne miny, zniechęcony bezużytecznością mych wysiłków postanowiłem opuścić społeczeństwo ludzkie. Nie, nie, nie szukałem samotnej wyspy, nie ma ich już. Schroniłem się tylko u kobiet. Pan wie, w gruncie rzeczy kobiety nie potępiają żadnej słabości: wołałyby raczej upokorzyć albo rozbroić naszą siłę. Dlatego kobieta jest

nagrodą nie wojownika, lecz zbrodniarza. Jest jego portem, jego przystanią; na ogół przychwytyują go w łóżku kobiety. Czy to nie wszystko, co zostaje nam z ziemskiego raj? Bezradny, pośpieszyłem do mego naturalnego portu. Ale nie wygłaszałem już mów. Grałem jeszcze trochę, z przyzwyczajenia; brak mi jednak było pomysłów. Waham się wyznać, ze strachu, że powiem znów jakieś straszliwe słowo: wydaje mi się, że w tym okresie pragnąłem miłości. Plugawe, co? W każdym razie było to głuche cierpienie, jakieś poczucie utraty, które czyniło mnie bardziej wolnym i pozwalało, na poły z przymusu, na poły z ciekawości, nawiązać pewne stosunki. Ponieważ pragnąłem kochać i być kochanym, sądziłem, że kocham. Inaczej mówiąc, udawałem.

Chwytałem się na tym, że zadaję często pytanie, którego jako doświadczony mężczyzna unikałem dotąd. Pytałem: "Czy mnie kochasz?" Pan wie, że w podobnych wypadkach odpowiada się zwykle: "A ty?" Jeśli mówiłem: tak, angażowałem się ponad miarę swoich prawdziwych uczuć. Jeśli ośmielałem się powiedzieć: nie, narażałem się na to, że nie będę więcej kochany, i cierpiałem z tego powodu. Im bardziej więc było zagrożone uczucie, w którym spodziewałem się znaleźć odpoczynek, tym bardziej domagałem się go od mej partnerki. Zmuszony do obietnic coraz wyraźniejszych, żądałem od mego serca coraz większego uczucia. Tak oto zapalałem fałszywą namiętnością do uroczej trzpiotki, która tak dobrze znała prasę poświęconą sprawom sercowym, że mówiła o miłości z pewnością i przekonaniem intelektualisty ogłaszającego społeczeństwo bezklasowe. Jak pan wie, takie przekonanie wciąga człowieka. Ćwiczyłem się również w mówieniu o miłości i skończyło się na tym, że przekonałem samego siebie. Przynajmniej do chwili, kiedy została moją kochanką i kiedy zrozumiałem, że prasa, która uczy mówić o miłości, nie uczy jej praktykować. Tak więc najpierw kochałem papugę, potem zaś musiałem spać z wężem. Toteż gdzie indziej szukałem miłości przyrzeczonej przez książki, której nie spotkałem nigdy w życiu.

Ale nie miałem wprawy. Przez trzydzieści lat z górą kochałem wyłącznie siebie. Jakże spodziewać się, że wyzbędę się takiego przyzwyczajenia? Nie wyzbyłem się go wcale i pozostałem kandydatem do namiętności. Mnożyłem obietnice. Miałem miłości równoczesne, jak w innym czasie miałem rozliczne związki miłosne. Ściągnąłem wówczas więcej nieszczęść na innych niż w czasach pięknej obojętności. Czy powiedziałem panu, że moja zrozpaczona papuga chciała zamorzyć się głodem? Na szczęście zjawiłem się w porę i zgodziłem się trzymać ją za rękę aż do chwili, kiedy spotkała inżyniera o siwych

skroniach, który wrócił z podróży do Bali i zdążył już jej powiedzieć, czym odznacza się jego ulubiony tygodnik. W każdym razie daleki od tego, by czuć się rozgrzeszony i przeniesiony, jak to się powiada, w wieczność namiętności, przydałem tylko ciężaru moim błędom i zagubiłem się jeszcze bardziej. Poczulem tak wielkie obrzydzenie do miłości, że przez lata całe nie mogłem słuchać bez zgrzytania zębami *La Vie en rose* czy *Śmierci miłosnej Izoldy*. Spróbowałem wówczas wyrzec się w pewien sposób kobiet i żyć w cnocie. W końcu ich przyjaźń powinna mi była wystarczyć. Ale znaczyło to wyrzec się gry. Kobiety, których nie pragnąłem, nudziły mnie ponad wszelkie oczekiwanie i najwidoczniej ja nudziłem je także. Koniec z grą, koniec z teatrem, tak wyglądała prawda. Ale prawda, drogi przyjacielu, jest śmiertelnie nudna.

Zwątpiwszy w miłość i cnotę, wpadłem w końcu na myśl, że zostaje jeszcze rozpusta, która doskonale zastępuje miłość, gasi śmiech, sprowadza ciszę i, co najważniejsze, daje nieśmiertelność. Przy pewnym stopniu jasnowidzącego pijaństwa, gdy późno w nocy leżysz między dwiema dziwkami wolny od wszelkich pragnień, nadzieja przestaje być torturą, duch panuje nad czasem, cierpienie, że żyjesz, skończyło się na zawsze. W pewnym sensie zawsze żyłem w rozpuście, nigdy bowiem nie przestawałem pragnąć nieśmiertelności. Czy nie była to istota mojej natury, a także skutek wielkiej miłości ku sobie, o której panu mówiłem? Tak, umierałem z chęci, żeby być nieśmiertelnym. Kochałem się za bardzo, żeby nie pragnąć, by cenny obiekt mego uczucia nigdy nie przestał istnieć. Ponieważ w stanie trzeźwości i przy niejakej wiedzy o sobie nie sposób znaleźć powodu, dla którego nieśmiertelność miałaby być dana lubieżnej małpie, trzeba sobie stworzyć zastępcze środki tej nieśmiertelności. Pragnąłem nieśmiertelnego życia, spałem więc z kurwami i piłem po nocach. Rano, oczywiście, miałem w ustach gorzki smak doli śmiertelnej. Ale przez długie godziny szczęśliwy unosiłem się w powietrzu. Czy ośmielę się panu wyznać? Wspominam dziś jeszcze z czułością owe noce, kiedy szedłem do brudnej spelunki, by znaleźć pewną tancerkę, która zaszczycła mnie swymi względami i dla chwały której biłem się nawet pewnego wieczora z wąsatym samochwałem. Przez całą noc paradowałem przy barze, w czerwonym świetle i kurzu tego miejsca rozkoszy, kłamiąc jak najęty i pijąc godzinami. Czekałem świtu, waliłem się do nigdy nie zasłanego łóżka mojej księżniczki, która mechanicznie oddawała się przyjemności, po czym natychmiast zasypiała. Dzień łagodnie oświetlał tę klęskę, a ja wznosiłem się nieruchomy w poranku sławy.

Alkohol i kobiety, wyznajmy to, dostarczyły mi jedynej ulgi, jakiej byłem godzien. Zdradzam panu tę tajemnicę, drogi przyjacielu, niech pan korzysta z niej bez obaw. Przekona się pan, że prawdziwa rozpusta wyzwala, ponieważ nie stwarza żadnych zobowiązań. W rozpucie posiada się tylko siebie, jest to więc ulubione zajęcie ludzi zakochanych we własnej osobie. Rozpusta jest dżunglą bez przyszłości i bez przeszłości, nade wszystko zaś bez obietnicy i natychmiastowej sankcji. Miejsca, gdzie się ją uprawia, są oddzielone od świata. Wchodząc tam porzuca się obawę i nadzieję. Rozmowa nie jest obowiązkowa; to, czego się tam szuka, można uzyskać bez słów, a często nawet, tak, bez pieniędzy. Ach, niech mi pan pozwoli złożyć szczególny hołd nieznanym i zapomnianym kobietom, które mi pomogły wówczas. Dziś jeszcze do wspomnienia, jakie zachowałem o nich, dołącza się coś, co przypomina szacunek.

W każdym razie korzystałem bez umiaru z tego wyzwolenia. Można było mnie nawet zobaczyć w pewnym hotelu, oddanego temu, co się nazywa grzechem, żyjącego jednocześnie z doświadczoną prostytutką i dziewczyną z najlepszego towarzystwa. Z pierwszą bawiłem się w rycerskość, drugiej umożliwiałem poznanie pewnych realności życia. Niestety, prostytutka miała charakter bardzo mieszczański: zgodziła się spisać swoje wspomnienia dla dziennika specjalizującego się w spowiedziach, szeroko otwartego dla idei nowoczesnych. Natomiast dziewczyna wyszła za męża, by zaspokoić swe niepohamowane instynkty i znaleźć zastosowanie dla swych wybitnych talentów. Jestem niemniej dumny, że w owym czasie zostałem przyjęty jak równy przez pewną męską korporację, nazbyt często oczernianą. Pominę to: pan wie, że nawet ludzie bardzo inteligentni chwalą się, że mogą wypić butelkę więcej od swego sąsiada. Mogłem więc znaleźć wreszcie spokój i wyzwolenie w tym szczęśliwym marnotrawstwie. Ale tu znów napotkałem przeszkodę w sobie samym. Tym razem była to moja wątroba i zmęczenie tak straszliwe, że dotychczas nie opuściło mnie jeszcze. Człowiek bawi się w nieśmiertelnego i po kilku tygodniach nie wie nawet, czy dociągnie do jutra.

Jedyną korzyścią z owego doświadczenia, kiedy już wyrzekłem się moich wspaniałych nocnych osiągnięć, było to, że życie stało się dla mnie mniej bolesne. Zmęczenie, które dręczyło moje ciało, zniszczyło zarazem wiele żywych punktów we mnie. Każde nadużycie zmniejsza żywotność, a zatem i cierpienie. Rozpusta nie ma w sobie nic szalonego wbrew temu, co się mniema. Jest tylko długim snem. Zauważył pan zapewne, że mężczyźni, którzy naprawdę cierpią z powodu zazdrości, nie mają nic

pilniejszego do zrobienia, jak przespać się z tą, o której myślą przecie, że ich zdradziła. Rzecz prosta, chcą się upewnić raz jeszcze, że ich drogi skarb należy wciąż do nich. Chcą go posiadać, jak to się powiada. Ale prawdą jest również, że zaraz potem są mniej zazdrośni. Zazdrość fizyczna to skutek wyobraźni i zarazem sąd nad sobą. Przypisuje się rywalowi obrzydliwe myśli, które miało się w tych samych okolicznościach. Na szczęście, nadmiar rozkoszy osłabia zarówno wyobraźnię, jak i zdolność sądu. Cierpienie znika, gdy człowiek jest zaspokojony i nie budzi się tak długo, póki śpi żądza. Dla tych samych powodów młodzi chłopcy tracą niepokój metafizyczny z pierwszą kochanką, a pewne małżeństwa, które są zbiurokratyzowaną rozpustą, stają się jednocześnie grobem wszelkiej odwagi i pomysłowości. Tak, drogi przyjacielu, mieszczańskie małżeństwo ubrało nasz kraj w pantofle i rychło postawiło go u wrót śmierci.

Przesadzam? Nie, ale się błąkam. Chciałem tylko powiedzieć panu o korzyściach, jakie wyniosłem z tych miesięcy orgii. Żyłem w jakiejś mgle, gdzie śmiech przygłuchł tak bardzo, że go już nie słyszałem. Obojętność, która zajmowała tyle miejsca we mnie, nie natrafiła już na opór i rozszerzała swój zakres. Żadnych wzruszeń! Jednak humor albo raczej żadnego humoru. Gruźlicze płuca zdrowieją schnąc i duszą powoli ich szczęśliwego właściciela. Tak samo było ze mną, który, wyleczony już, umierałem spokojnie. Pracowałem wciąż w swym fachu, choć moja reputacja podupadła bardzo, pozwalałem sobie bowiem na dziwne wypowiedzi, regularne zaś uprawianie zawodu uniemożliwiał nieład mego życia. Warto jednak zanotować, że mniej miano mi za złe moje nocne wybryki niż zaczepki słowne. Czysto werbalne odwoływanie się do Boga, na jakie czasami pozwalałem sobie w mowach sądowych, budziło nieufność klientów. Obawiali się bez wątpienia, że niebo nie zajmie się ich interesami równie sprawnie, jak adwokat biegły w kodeksie. Stąd do wniosku, że moje zwracanie się do Boga jest świadectwem ignorancji, był tylko jeden krok. Moi klienci uczynili ten krok i stali się rzadsi. Od czasu do czasu broniłem jeszcze. Niekiedy nawet, zapominając, że nie wierzę już w to, co mówię, broniłem dobrze. Mój własny głos porywał mnie, szedłem za nim; nie fruując naprawdę, jak dawniej, unosiłem się nieco nad ziemią, podskakiwałem. Widywałem mało ludzi i prócz stosunków zawodowych podtrzymywałem tylko kilka żalonych i sfatygowanych związków z kobietami. Zdarzało mi się nawet spędzać wieczory przyjacielskie, bez pragnień; skazany na nudę ledwie słuchałem tego, co mi mówiono. Utyłem trochę i mogłem uwierzyć wreszcie, że kryzys minął. Teraz chodziło już tylko o to,

żeby się zestarzeć. Pewnego jednak dnia, podczas podróży, którą ofiarowałem mojej przyjaciółce nie mówiąc, że odbywam ją, by uczcić własne wyzdrowienie, znajdowałem się na transatlantyku, na górnym pokładzie, oczywiście. Nagle ujrzałem czarny punkt na oceanie koloru żelaza. Odwróciłem natychmiast oczy, serce zaczęło mi bić. Kiedy zmusiłem się, by spojrzeć, czarny punkt zniknął. Chciałem krzyknąć, głupio wzywać pomocy, kiedy ujrzałem go znów. Były to jakieś resztki, które statki zostawiają za sobą. A jednak nie mogłem na nie patrzeć, natychmiast pomyślałem o topielcu. Zrozumiałem wówczas bez buntu, tak samo jak poddajemy się z rezygnacją myśli, której prawdę znamy od dawna, że ten krzyk, który przed laty zabrzmiał za mną na Sekwanie, niesiony przez rzekę ku wodom La Manche, nie przestał biec światem przez nieskończony ogrom oceanu i że czekał na mnie aż do dnia, kiedy go spotkam. Zrozumiałem również, że będzie na mnie nadal czekał na morzach i rzekach, wszędzie, gdzie płynie gorzka woda mego chrztu. Niech pan powie, czy tu nie jesteśmy jeszcze na wodzie? Na wodzie płaskiej, monotonnej, bez końca, której granice mieszają się z granicami ziemi? Jakże wierzyć, że wrócimy do Amsterdamu? Nie wyjdziemy nigdy z tej ogromnej chrzcielnicy. Niech pan słucha. Czy nie słyszy pan krzyku niewidocznych mew? Jeśli krzyczą ku nam, do czego nas wzywają?

Ale są to te same, które krzyczały, wzywały już na Atlantyku, owego dnia, kiedy zrozumiałem ostatecznie, że nie wyzdrowiałem, że jestem wciąż w potrzasku i że trzeba się z tym pogodzić. Skończyło się chlubne życie, ale skończyła się również wściekłość i podskoki. Trzeba się podporządkować i przyznać do winy. Trzeba żyć w "niewygodzie". To prawda, pan nie wie o tej celi w lochu, którą w średniowieczu nazywano "niewygoda". Na ogół zapominano o człowieku, który się tam znajdował, na całe życie. Ta cela odróżniała się od innych pomysłowymi wymiarami. Nie była dość wysoka, żeby można było w niej stać, ale też nie dość szeroka, żeby leżeć. Należało przybrać utrudnioną pozycję, żyć na przekątni; sen był upadkiem, czuwanie przykucnięciem. Kochany panie, ten prosty wynalazek był genialny, a mówiąc to, ważę słowa. Codziennie, na skutek niezmiennego przymusu, od którego sztywniało ciało, skazany uświadamiał sobie, że jest winien: niewinność polega na tym, że można się radośnie wyciągnąć. Czy może pan sobie wyobrazić w tej celi człowieka przyzwyczajonego do szczytów i górnych pokładów? Co? Można było żyć w tych celach i być niewinnym? Nieprawdopodobne, wysoce nieprawdopodobne. W przeciwnym razie moje rozumowanie skreśliłoby kark. Nie chcę

zastanawiać się ani przez chwilę nad hipotezą, że niewinność może być doprowadzona do punktu, kiedy musi żyć garbata. Zresztą, nie możemy stwierdzić niewinności nikogo, gdy na pewno możemy stwierdzić winę wszystkich. Każdy człowiek świadczy o zbrodni wszystkich innych, oto moja wiara i moja nadzieja.

Niech mi pan wierzy, że religie mylą się od chwili, kiedy zaczynają moralizować i piorunują przykazaniami. Bóg nie jest niezbędny, żeby stworzyć winę ani żeby karać. Wystarczą nasi bliźni, wspomagani przez nas samych. Mówi pan o sądzie ostatecznym. Niech mi pan pozwoli roześmiać się z szacunkiem. Czekam nań śmiało: poznałem to, co jest najgorsze, sąd ludzi. Dla nich nie ma okoliczności łagodzących, nawet dobrą intencję posądzają o zbrodnię. Czy słyszał pan przynajmniej o celi opluwania, którą wymyślił niedawno pewien naród, by dowieść, że jest największy na ziemi? Jest to murowane pudełko, gdzie więzień stoi, ale nie może się ruszać. Mocne drzwi, które zamykają go w tej muszli z cementu, kończą się na wysokości jego brody. Widać więc tylko twarz, na którą każdy przychodzący strażnik pluje obficie. Więzień, ściśnięty w celi, nie może się wytrzeć, choć, co prawda, wolno mu zamknąć oczy. Tak, drogi panie, to jest pomysł ludzi. Nie trzeba im Boga do tego małego arcydzieła.

A zatem? A zatem jedyny pożytek z Boga byłby wówczas, gdyby dawał on rękojmię niewinności, religię zaś widziałbym jako wielkie pranie, czym była zresztą, ale krótko, przez trzy lata tylko i nie nazywała się religią. Od tego czasu brak mydła, mamy brudne nosy i wycieramy je sobie wzajemnie. Wszyscy biedacy, wszyscy ukarani, plujmy sobie w twarze i hop! do "niewygody"! Ten górą, kto plunie pierwszy, ot i wszystko. Powiem panu wielką tajemnicę, drogi przyjacielu. Niech pan nie czeka na sąd ostateczny. Sąd ostateczny jest co dzień.

Nie, to nic, dygoczę trochę z tej przeklętej wilgoci. Jesteśmy zresztą na miejscu. Proszę. Pan pierwszy. Ale niech pan jeszcze nie odchodzi i odprowadzi mnie. Nie skończyłem, trzeba ciągnąć dalej. Ciągnąć dalej, to właśnie jest trudne. Czy wie pan, dlaczego ukrzyżowano tamtego, o którym myśli pan może w tej chwili? Zgoda, było mnóstwo powodów po temu. Zawsze są powody do zabicia człowieka. Nie sposób za to udowodnić, że powinien żyć. Dlatego zbrodnia zawsze znajduje adwokatów, a niewinność tylko niekiedy. Ale prócz powodów, które nam doskonale wyjaśniono przez dwa tysiące lat, była jeszcze jedna wielka przyczyna tej strasznej agonii i nie wiem, dlaczego ukrywa się ją tak starannie. W istocie rzecz polegała na tym, że on wiedział, że nie jest całkiem

niewinny. Jeśli nie dźwigał ciężaru winy, o którą go oskarżano, popełnił inne, choć nie wiedział jakie. Czy nie wiedział zresztą? Był przecież u źródła; musiał słyszeć o pewnej rzezi niewinnych. Zamordowano dzieci judejskie, gdy rodzice wieźli go do bezpiecznego miejsca; dlaczegożby miały umrzeć, jeśli nie przez niego? Nie chciał tego, oczywiście. Ci zakrwawieni żołnierze, te dzieci przecięte na pół budziły w nim wstręt. Ale jestem pewien, że będąc takim, jakim był, nie mógł o nich zapomnieć. I czy ów smutek, który odgadujemy we wszystkich jego czynach, nie był nieuleczalną melancholią człowieka, co słyszał przez całą noc głos Rachel jęczącej nad swymi dziećmi i odmawiającej wszelkiej pociechy? Skarga wznosiła się w nocy, Rachela wzywała dzieci zabite dla niego, a on żył.

Skoro wiedział to, co wiedział, świadom wszystkiego w człowieku – ach, któż by uwierzył, że zbrodnia nie polega na tym, że się zabija, ale że się samemu nie umiera! – dzień i noc obok swej niewinnej zbrodni, zbyt trudno było mu trwać i ciągnąć dalej. Lepiej z tym skończyć, nie bronić się, umrzeć, żeby nie być już samemu w życiu i żeby odejść gdzie indziej, tam, gdzie go wspomogą. Nie znalazł pomocy, skarżył się przecież i, żeby dopełnić dzieła, ocenowano go. Tak, zdaje się, że to trzeci ewangelista zaczął wykreślać jego skargę. “Dlaczegoś mnie opuścił?”, to krzyk buntowniczy, prawda? A zatem, nożyce! Niech pan zauważy zresztą, że gdyby Łukasz nic nie skreślił, ledwo zwrócono by na to uwagę; w każdym razie sprawa nie nabrałaby takiego znaczenia. Tak więc cenzor sam ogłasza to, co skreśla. Porządek świata także jest dwuznaczny.

Co nie przeszkadza, że ocenowany nie mógł ciągnąć dalej. Wiem, przyjacielu, o czym mówię. Był czas, kiedy w żadnej chwili nie wiedziałem, jak doczekam następnej. Tak, na tym świecie można być na wojnie, małpować miłość, torturować bliźniego, paradować w dziennikach albo po prostu, robiąc na drutach, mówić źle o swoim sąsiedzie. Ale w pewnych wypadkach ciągnąć dalej, tylko ciągnąć dalej, oto co naprawdę jest nadludzkie. On zaś nie był nadludzki, może mi pan wierzyć. Krzyczał o swojej agonii i dlatego, mój przyjacielu, kocham jego, który umarł nie wiedząc.

Nieszczęście polega na tym, że zostawił nas samych, abyśmy ciągnęli, cokolwiek się stanie, nawet jeśli gnieździemy się w “niewygodzie”, wiedząc z kolei to, co on wiedział, lecz nie umiając uczynić tego, co on uczynił, i umrzeć jak on. Spróbowano oczywiście dopomóc sobie nieco jego śmiercią. To przecież genialny chwyt powiedzieć nam: “Nie jesteście nadzwyczajni, tak, nie ma dwóch zdań. A zatem, nie będziemy wchodzić w szczegóły! Załatwi się to za jednym zamachem, na krzyżu.” Ale zbyt wielu ludzi wdrapuje

się teraz na krzyż tylko po to, żeby można ich było widzieć z większej odległości, nawet jeśli w tym celu trzeba trochę podeptać tego, który znajduje się na krzyżu od tak dawna. Zbyt wielu ludzi postanowiło obejść się bez wielkoduszności, żeby praktykować miłosierdzie. O krzywdo, krzywdo, którą mu wyrządzono i która ściska mi serce!

Proszę, znowu mnie to wzięło, zaczynam mowę przed sądem. Niech mi pan wybaczy i zrozumie, że mam swoje powody. Na przykład kilka ulic stąd jest muzeum, które nazywa się "Nasz Zbawiciel na strychu." W swoim czasie mieli swoje na poddaszach. Cóż pan chce, piwnice są tu zalane. Ale dziś, niech pan się pocieszy, ich Zbawiciel nie jest już ani na strychu, ani w piwnicy. W skrytości serca posadzili go w trybunale i biją, nade wszystko zaś sądzą, sądzą w jego imieniu. Mówił łagodnie do grzesznicy: "I ja ciebie nie potępiam!"; nie szkodzi, oni potępiają, oni nie rozgrzeszają nikogo. W imieniu Zbawiciela, oto twój rachunek. Zbawiciel? On nie żądał tyle, mój drogi. Chciał, żeby go kochano, nic więcej. Oczywiście, są ludzie, którzy go kochają, nawet wśród chrześcijan. Ale można ich policzyć. Przewidział to zresztą, miał poczucie humoru. Piotr, wie pan, tchórzliwy Piotr, zaparł się go: "Nie znam tego człowieka... Nie wiem, o czym mówisz... itd." Przesadzał, doprawdy! On zaś zabawił się w grę słów: "Na tej opoce zbuduję swój kościół." Nie można posunąć się dalej w ironii, nie uważa pan? Ale nie, oni jeszcze triumfują! "Widzicie, powiedział to." Powiedział w istocie, znał dobrze sprawę. I potem odszedł na zawsze, pozostawiając im sąd i potępienie. A oni mają przebaczenie na ustach i wyrok w sercu.

Nie sposób bowiem powiedzieć, że nie ma już litości, wielcy bogowie, nie przestajemy o niej mówić. Tylko że nie uniewinnia się już nikogo. Na martwej niewinności rozmnażają się sędziowie, sędziowie wszystkich ras, sędziowie Chrystusa i Antychrysta, ci sami zresztą, pojednani w "niewygodzie". Nie należy bowiem obciążać tylko chrześcijan. Inni również biorą udział. Czy wie pan, na co zamieniono jeden z domów w tym mieście, gdzie schronił się Kartezjusz? Na dom wariatów. Tak, to powszechne szaleństwo i prześladowanie. My także, rzecz prosta, musimy w tym brać udział. Mógł pan zauważyć, że nie oszczędzam niczego, i wiem, że pan ze swej strony zgadza się ze mną. A zatem, skoro wszyscy jesteśmy sędziami, wszyscy jesteśmy winni, jedni wobec drugich, wszyscy jesteśmy Chrystusami na nasz obrzydliwy sposób, wszyscy kolejno ukrzyżowani nic nie wiedząc o tym. Przynajmniej tak byłoby, gdybym ja, Clamence, nie znalazł wyjścia, jedyne rozwiązanie, prawdy...

Nie, kończę na tym, drogi przyjacielu, niech się pan nie obawia! Zresztą pożegnam pana, jesteśmy przy mojej bramie. Cóż pan chce, w samotności i kiedy człowiek jest zmęczony, chętnie bierze siebie za proroka. W końcu jestem nim przecież, tu, na pustyni z kamieni, mgły i zgniłych wód, pusty prorok dla miernych czasów, Eliaz bez mesjasza, nadziany gorączką i alkoholem, z plecami przyklejonymi do tej spleśniałej bramy, z palcem wzniesionym ku niskiemu niebu, obrzucający złorzeczeniami ludzi bez prawa, którzy nie mogą znieść żadnego sądu. Bo nie mogą go znieść, mój drogi, i na tym polega cały problem. Ten, co zgadza się na jakieś prawo, nie boi się sądu, przywracającego go do porządku, w który wierzy. Ale największą katuszą dla człowieka jest być sądzonym bez prawa. A jednak są to nasze katusze. Sędziowie pozbawieni naturalnego wędzidła, rozkielznani z woli przypadku, karają podwójnie. Czy nie trzeba więc spróbować iść szybciej od nich? I oto wielki rozgardiasz. Prorocy i uzdrowiciele mnożą się, śpieszą, żeby zdążyć z dobrym prawem lub nienaganą organizacją zanim ziemia będzie pusta. Na szczęście już doszedłem. Jestem końcem i początkiem, ogłaszam prawo. Krótko mówiąc, jestem sędzią-pokutnikiem.

Tak, tak, powiem panu jutro, na czym polega ten piękny zawód. Pan wyjeżdża pojutrze, nie mamy więc dużo czasu. Niech pan przyjdzie do mnie, jeśli pan chce, proszę dzwonić trzy razy. Pan wraca do Paryża? Paryż jest daleko, Paryż jest piękny, nie zapomniałem Paryża. Pamiętam jego zmierzchy, mniej więcej o tym samym czasie. Wieczór spada, suchy i poskrzypujący na dachy niebieskie od dymu, miasto huczy głucho, zdaje się, że rzeka zawraca swój bieg. Błąkałem się wówczas po ulicach. Oni teraz błąkają się także, wiem o tym! Błąkają się udając, że śpieszą do zmęczonej kobiety, do zacnej rodziny... Ach, przyjacielu, czy wie pan, co to jest samotna istota błąkająca się w wielkich miastach?...

6

Przykro mi, że przyjmuję pana leżąc. Drobnostka, trochę gorączki, którą leczę jałowcówką. Jestem przyzwyczajony do tych ataków. Zakażenie zimnicze, przypuszczam, którego nabawiłem się w czasach, kiedy byłem papieżem. Nie, na wpół tylko żartuję. Wiem, co pan sobie myśli: w mojej opowieści trudno jest odróżnić prawdę od fałszu. Przyznaję, że ma pan rację. Ja sam... Widzi pan, pewna osoba z mego otoczenia dzieliła ludzi na trzy kategorie: na tych, którzy wolą raczej nic nie ukrywać niż musieć kłamać, na tych, którzy wolą raczej kłamać niż nie mieć nic do ukrycia, i na tych wreszcie, którzy lubią i kłamstwo, i tajemnicę. Pozostawiam panu wybór przegródki, która pasuje do mnie najlepiej.

Cóż to zresztą ma za znaczenie? Czy kłamstwa nie kierują w końcu na drogę prawdy? Czy moje opowiadania, prawdziwe lub fałszywe, nie zmierzają wszystkie do tego samego celu, czy nie mają tego samego sensu? Co za różnica więc, czy są prawdziwe, czy fałszywe, jeśli w obu wypadkach określają człowieka, jakim byłem i jakim jestem. Czasem czyta się jaśniej w tym, który kłamie, niż w tym, który mówi prawdę. Prawda oślepia jak światło. Kłamstwo, przeciwnie, jest pięknym zmierzchem, przydaje wartości wszystkim przedmiotom. I w końcu, niech pan na to patrzy, jak pan chce, ale zostałem wybrany papieżem w obozie jeńców.

Proszę, niech pan siada. Pan się przygląda temu pokojowi. Jest nagi, co prawda, ale czysty. Vermeer bez mebli i garnków. Także bez książek, od dawna przestałem czytać. Kiedyś mój dom był pełen na wpół przeczytanych książek. Jest to równie odrażające jak postępowanie ludzi, którzy wykrawają z gęsi wątróbkę i wyrzucają resztę. Poza tym lubię tylko wyznania, a autorzy wyznań piszą przede wszystkim po to, żeby nic nie wyznać, żeby nie mówić o tym, co wiedzą. W chwili kiedy rzekomo przechodzą do zwierzeń, trzeba mieć się na baczności, będą szminkować trupa. Może mi pan wierzyć, znam się na tym. Dałem więc spokój. Ani książek, ani zbędnych przedmiotów, tylko to, co konieczne, czyste, wypolerowane jak trumna. Zresztą w tych twardych łózkach holenderskich z ich nieskalanymi prześcieradłami od razu umiera się w całunieniu nabalsamowanym czystością.

Ciekaw pan moich przygód pontyfikalnych? Bardzo to banalne, proszę pana. Czy

będę miał siłę mówić? Tak, zdaje mi się, że gorączka spada. Było to już dawno. W Afryce, gdzie pan Rommel postarał się o wojnę. Nie byłem w to zamieszany, nie, niech pan będzie spokojny. Już w Europie odciąłem się od wojny. Oczywiście, byłem zmobilizowany, ani przez chwilę jednak nie widziałem ognia. W pewnym sensie żał mi, że tak się stało. Może zmieniłoby to wiele rzeczy? Armia francuska nie potrzebowała mnie na froncie. Zażądała tylko ode mnie, bym uczestniczył w odwrocie. Potem odnalazłem Paryż i Niemców. Kusił mnie Ruch Oporu, o którym zaczynało się mówić mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja odkryłem, że jestem patriotą. Pan się uśmiecha? Niesłusznie, Odkrycia dokonałem w metrze, na stacji Chatelet. Jakiś pies zabłąkał się w labiryncie. Wielki, o sztywnej sierści, złamanym uchu, rozbawionych oczach, skakał, obwąchiwał przechodzące łydki. Lubię psy, mam dla nich bardzo starą i bardzo wierną czułość. Lubię je, ponieważ zawsze wybaczą. Zawołałem tego psa; wahał się, wyraźnie zjednany, był o kilka metrów ode mnie, jego zad zdradzał entuzjazm. W tej chwili wyprzedził mnie młody, szybko idący żołnierz niemiecki. Znalazłszy się obok psa, pogłaskał go po głowie. Zwierzę bez wahania ruszyło z równym entuzjazmem za nim i znikło. Rozczarowanie i wściekłość, jaką poczułem do niemieckiego żołnierza, kazały mi uznać, że moja reakcja była patriotyczna. Gdyby pies poszedł za cywilem francuskim, nie pomyślałbym nawet o tym. Ale wyobraziłem sobie to sympatyczne zwierzę jako maskotkę niemieckiego pułku i to właśnie przyprawiło mnie o wściekłość. Test jest więc przekonujący.

Przyjechałem do południowej strefy z zamiarem zasięgnięcia wiadomości o Ruchu Oporu. Ale gdy na miejscu zobaczyłem, jak rzecz wygląda, zawahałem się. Przedsięwzięcie wydało mi się trochę szalone i, żeby rzec prawdę, romantyczne. Myślę jednak przede wszystkim, że akcja podziemna nie odpowiadała ani memu temperamentowi, ani upodobaniu do powietrznych szczytów. Odnosiłem wrażenie, że żądają ode mnie, bym tkął przez dni i noce w piwnicy czekając, aż dzicz przyjdzie mnie wyrzucić, zniszczy wpierw moją tkaninę, po czym zaciągnie mnie do innej piwnicy, by zatłuc na śmierć. Podziwiałem tych, którzy oddawali się temu głębinowemu bohaterstwu, ale nie potrafiłem ich naśladować.

Udałem się więc do Północnej Afryki z nieokreślonym zamiarem wyjazdu do Londynu. Ale w Afryce sytuacja była niejasna, wydawało mi się, że przeciwne partie jednakowo mają rację, i zaniechałem tego. Widzę z pańskiej miny, że zdaniem pana przechodzę zbyt szybko do porządku nad szczegółami, które mają znaczenie. Powiedzmy

więc, że oceniwszy pana, jak pan na to zasługuje, przechodzę nad nimi do porządku, żeby je pan lepiej ocenił. W każdym razie znalazłem się w końcu w Tunezji, gdzie pewna moja przyjaciółka od serca zapewniła mi pracę. Ta przyjaciółka była bardzo inteligentną istotą i zajmowała się filmem. Pojechałem za nią do Tunisu, o jej prawdziwym zawodzie zaś dowiedziałem się dopiero po wylądowaniu aliantów w Algierze. W dzień potem została aresztowana przez Niemców i ja również, choć nie przyłożyłem do tego ręki. Nie wiem, co się z nią stało. Co do mnie, nie wyrządzono mi żadnej krzywdy i po wielkich obawach zrozumiałem, że chodzi tu przede wszystkim o akcję prewencyjną. Zostałem internowany niedaleko Tripolisu, w obozie, gdzie bardziej cierpiano z pragnienia i niedostatku niż ze złego traktowania. Nie będę panu opisywał obozu. My, dzieci półwiecza, nie potrzebujemy rysunku, żeby wyobrazić sobie te miejsca. Przed stu pięćdziesięciu laty rozczulano się nad jeziorami i lasami. Dziś nasz liryzm dotyczy więziennych cel. Mogę więc pańskiej wiedzy zaufać. Doda pan tylko kilka szczegółów: upał, prażące słońce, muchy, piasek, brak wody.

Był ze mną młody Francuz, który wierzył. Tak! to czarodziejska bajka, nie ma co mówić. Rodzaj Duguesclina, jeśli to panu dogadza. Przeszedł z Francji do Hiszpanii, żeby się bić. Internował go generał katolicki; mój Francuz zobaczywszy, że w obozach frankistowskich soczewica, że ośmielę się tak powiedzieć, jest błogosławiona przez Rzym, popadł w głęboki smutek. Ani niebo Afryki, gdzie wylądował potem, ani rozrywki obozowe nie mogły go uwolnić od tego smutku. Ale rozmyślanie, a także słońce wytrąciły go nieco z normalnego stanu. Pewnego dnia, kiedy w namiocie, ociekającym roztopionym ołowiem, pełnym much, dusiliśmy się w dwunastu ludzi, znów zaatakował ze złością tego, kogo nazywał Rzymianinem. Obrośnięty długo nie golonym zarostem, patrzył na nas z błędnym wyrazem. Jego nagi tors okrywał pot, ręce bębniły po widocznej wyraźnie klawiaturze żeber. Oświadczył nam, że trzeba nowego papieża, który by żył między nieszczęśliwymi zamiast modlić się na tronie, i im szybciej do tego dojdzie, tym będzie lepiej. Wbijał w nas szalone oczy kiwając głową. "Tak, powtarzał, jak najszybciej!" Potem uspokoił się nagle i ponurym głosem oświadczył, że należy go wybrać spośród nas, wziąć człowieka takiego, jakim jest, z jego wadami i zaletami i przysiąc mu posłuszeństwo, pod jednym warunkiem, że będzie strzegł w sobie i w innych wspólnoty naszych cierpień. "Kto z nas, mówił, ma najwięcej słabości?" Dla żartu podniosłem palec i byłem jedyny, który to uczynił. "Dobrze, Jean-Baptiste." Nie, nie powiedział tak,

miałem wówczas inne imię. Niemniej oświadczył, że moja reakcja pozwala przypuszczać, iż jestem obdarzony największymi zaletami, i zaproponował, żeby mnie wybrać. Inni zgodzili się dla zabawy, jednakże z pewnym odcieniem powagi. Rzecz w tym, że Duguesclin zrobił na nas wrażenie. Wydaje mi się, że ja sam wcale się nie śmiałem. Uważałem przede wszystkim, że mój mały prorok ma rację, a poza tym słońce, wyczerpująca praca, bitwy o wodę, krótko mówiąc, nie czuliśmy się dobrze. Tak czy inaczej sprawowałem władzę papieża przez wiele tygodni i to coraz bardziej serio.

Na czym to polegało? Byłem czymś w rodzaju kierownika grupy czy sekretarza komórki. W każdym razie pozostali, nawet ci, co nie wierzyli, przywykli mnie słuchać. Duguesclin cierpiał; administrowałem jego cierpieniem. Zrozumiałem wówczas, że nie tak łatwo jest być papieżem, jak się przypuszcza, i znów przypomniałem sobie o tym wczoraj, kiedy z tak wielką pogardą mówiłem o sędziach, naszych braciach. W obozie wielkim problemem był przydział wody. Powstały inne grupy, polityczne lub wyznaniowe, i każdy faworyzował swoich towarzyszy. Musiałem więc faworyzować moich, co było już małym ustępstwem. Nawet wśród nas nie mogłem utrzymać doskonałej równości. Zgodnie ze stanem towarzyszy lub ich pracą wyróżniałem tego czy innego. Te wyróżnienia prowadzą daleko, może mi pan wierzyć. Ale, stanowczo, jestem zmęczony i nie mam ochoty myśleć o tych czasach. Powiedzmy tylko, że krąg zamknął się owego dnia, kiedy wypilem wodę umierającego towarzysza. Nie, nie, to nie był Duguesclin, umarł już, zbyt sobie wszystkiego odmawiał. A poza tym, gdyby żył jeszcze, opierałbym się dłużej z miłości dla niego, ponieważ kochałem go, tak, kochałem, przynajmniej tak mi się zdaje. Ale wypilem wodę, to pewne, tłumacząc sobie, że jestem bardziej potrzebny innym od tego tu, który i tak umrze, i muszę zachować siebie dla innych. Tak oto, kochany panie, rodzą się pod słońcem śmierci królestwa i kościoły. I żeby złagodzić nieco moje wczorajsze wywody, zdradzę panu wielką myśl, którą powziąłem, gdy mówiłem o tym wszystkim, a nie wiem już nawet, czy przeżyłem to, czy śniłem. Moja wielka myśl zawiera się w tym, że należy wybaczyć papieżowi. Po pierwsze, bo trzeba mu przebaczenia bardziej niż komukolwiek. Po drugie zaś, jest to jedyny sposób, żeby niewiele sobie z niego robić...

Och! Czy dobrze zamknął pan drzwi? Tak. Niech pan sprawdzi, jeśli łaska. Proszę mi wybaczyć, mam kompleks zamka. Kiedy zasypiam, nigdy nie mogę sobie przypomnieć, czy zasunąłem rygiel. Co wieczór muszę wstać, żeby to sprawdzić.

Powiedziałem już panu, nie jest się pewnym niczego. Niech pan nie sądzi, że ten niepokój o drzwi jest u mnie reakcją wystraszonego właściciela. Dawniej nie zamykałem na klucz ani swego mieszkania, ani auta. Nie chowałem pieniędzy, nie zależało mi na tym, co posiadałem. Prawdę mówiąc, było mi odrobinę wstyd posiadania. Czy wygłaszając mówkę w towarzystwie nie wołałem nieraz z przekonaniem: "Panowie, własność to zbrodnia!" Nie mając dość wielkiego serca, żeby podzielić się bogactwem z zasługującym na to biedakiem, pozostawiałem je do dyspozycji ewentualnych złodziei, w czym towarzyszyła mi nadzieja, że przypadek naprawi niesprawiedliwość. Dzisiaj zresztą nic nie posiadam. Nie troszczę się więc o swoje bezpieczeństwo, ale o siebie samego i przytomność mego umysłu. Zależy mi też na zamurowaniu drzwi od małego, dobrze zamkniętego świata, którego jestem królem, papieżem i sędzią.

Właśnie, czy chciałby pan otworzyć tę szafę? Tak, niech pan się przyjrzy temu obrazowi. Nie poznaje go pan? To *Sprawiedliwi sędziowie*. Nie zrywa się pan na równe nogi? W pańskim wykształceniu są zatem luki? Gdyby pan czytał jednak dzienniki, pamiętałby pan o kradzieży w 1934 roku, w Gandawie, w kościele Św. Bawona jednej z kwater sławnego ołtarza Van Eycka, noszącego tytuł *Baranek mistyczny*. Ta kwatery nazywa się *Sprawiedliwi sędziowie*. Przedstawia sędziów na koniach, jadących złożyć hołd świętemu zwierzęciu. Zastąpiono ją doskonałą kopią, oryginału bowiem nie znaleziono. Proszę, oto on. Nie, nie mam z tym nic wspólnego. Pewien bywalec "Mexico-City", którego widział pan pierwszego wieczora, w chwili pijaństwa sprzedał go gorylowi za butelkę. Najpierw poradziłem naszemu przyjacielowi, żeby powiesił obraz na widocznym miejscu, i przez długi czas pobożni sędziowie królowali w "Mexico-City" nad pijakami i sutenerami, gdy tymczasem szukano ich po całym świecie. Potem goryl na moją prośbę złożył tu obraz w depozycie. Krzywił się trochę, ale się przestraszył, gdy wyjaśniłem mu, o co chodzi. Od tego czasu ci szacowni sędownicy są moim jedynym towarzystwem. Widział pan pustkę, jaką zostawili tam, nad kontuarem.

Dlaczego nie zwróciłem obrazu? Ho, ho, ma pan refleks policjanta! Dobrze, odpowiem panu tak, jakbym odpowiedział urzędnikowi śledczemu, gdyby ktoś mógł wreszcie wpaść na myśl, że obraz wylądował w moim pokoju. Po pierwsze, ponieważ nie należy on do mnie, lecz do właściciela "Mexico-City", który zasługuje nań tak samo jak arcybiskup Gandawy. Po drugie, ponieważ wśród tych, którzy defilują przed *Barankiem mistycznym*, nie ma nikogo, kto potrafiłby odróżnić kopię od oryginału, a zatem nikt nie

jest pokrzywdzony z mojej winy. Po trzecie, ponieważ w ten sposób ja jestem górą. Fałszywi sędziowie są wystawieni na podziw świata, ja zaś jestem jedyny, który zna prawdziwych. Po czwarte, ponieważ dzięki temu mam szansę znaleźć się w więzieniu, co jest na swój sposób nęcące. Po piąte, ponieważ ci sędziowie udają się na spotkanie z Barankiem, a nie ma już Baranka ani niewinności, tak więc zręczny łotr, który ukradł obraz, był narzędziem nieznannej sprawiedliwości, jej zaś nie należy się sprzeciwiać. I wreszcie, ponieważ jesteśmy w porządku. Skoro sprawiedliwość została ostatecznie oddzielona od niewinności – pierwsza znalazłszy się na krzyżu, druga w szafie – mam wolne pole do pracy zgodnie z moimi przekonaniem. Mogę z czystym sumieniem uprawiać zawód sędziego-pokutnika, który obrałem po tylu goryczach i sprzecznościach i o którym czas już, bym panu wreszcie opowiedział, skoro pan wyjeżdża.

Pozwoli pan, że wpierw się wyprostuję, żeby lepiej oddychać. Och, jakże jestem zmęczony! Niech pan zamknie moich sędziów na klucz, dziękuję. Zawód sędziego-pokutnika uprawiam w tej chwili. Zazwyczaj moje biura znajdują się w "Mexico-City". Ale wielkie powołania sięgają poza miejsca pracy. Nawet w łóżku, nawet mając gorączkę, działam nadal. Zresztą tego zawodu się nie wykonuje, żyje się nim w każdej chwili. Niech pan nie wierzy, że przez pięć dni wygłaszałem do pana tak długie mowy jedynie dla przyjemności. Nie, dość mówiłem kiedyś, żeby już nic nie mówić. Teraz moje słowa są kierowane. Kierowane, oczywiście, przez myśl, że trzeba uciszyć śmiechy, osobiście uniknąć sądu, choć na pozór nie ma żadnego wyjścia. Czy nie dlatego nie możemy mu się wymknąć, że potępiamy siebie pierwsi? Należy zatem zacząć od tego, by potępienie obejmowało wszystkich bez różnicy; w ten sposób zostanie rozrzedzone.

Żadnych usprawiedliwień, nigdy i dla nikogo, oto moja pierwsza zasada. Nie uznaję dobrej intencji, szacownej omyłki, fałszywego kroku, łagodzącej okoliczności. U mnie nie błogosławi się, nie rozdaje rozgrzeszeń. Robi się rachunek, zwyczajnie, i potem: "Tyle i tyle. Pan jest człowiekiem zepsutym, lubieżnikiem, mitomanem, pederastą, artystą itd." Ot tak. Bez omówień. W filozofii jak i w polityce jestem więc za każdą teorią, która odmawia człowiekowi niewinności, i za każdą praktyką, która traktuje go jako winnego. Widzi pan we mnie, kochany przyjacielu, oświeconego stronnika niewoli.

Prawdę mówiąc, bez niewoli nie byłoby nigdy ostatecznego rozwiązania. Zrozumiałem to bardzo szybko. Dawniej miałem tylko wolność na ustach. Przy śniadaniu smarowałem nią chleb, żułem ją przez cały dzień, niosłem w świat oddech rozkosznie

odświeżony wolnością. Uderzałem tym arcysłowem każdego, kto mi przeczył, wzięłem je w służbę moich pragnień i potęgi. Sączyłem je w łóżku do ucha mych śpiących towarzyszek, dzięki jego pomocy mogłem je porzucać. Naszeptywałem je... No, podniecam się i tracę miarę. Zresztą, zdarzało mi się czynić z wolności użytek bardziej bezinteresowny i nawet, niech pan oceni moją naiwność, bronić jej kilka razy, oczywiście, nie tak dalece, żeby umrzeć dla niej, ale z pewnym ryzykiem. Trzeba mi wybaczyć te nieostrożności; nie wiedziałem, co czynię. Nie wiedziałem, że wolność nie jest nagrodą ani orderem, który fetuje się szampanem. Ani też podarkiem, pudełkiem łakoci, które dostarczają rozkoszy podniebieniu. Och, nie, na odwrót, to pańszczyzna, bieg wytrwały, samotny, bardzo wyczerpujący. Ani szampana, ani przyjaciół, którzy podnoszą kieliszek i patrzą na ciebie z czułością. Jestem sam w ponurej sali, sam na ławie oskarżonych, przed sędziami, i sam, żeby podjąć decyzję wobec siebie czy sądu innych. U kresu każdej wolności jest wyrok; dlatego wolność tak ciężko udźwignąć, zwłaszcza gdy cierpi się z powodu gorączki, gdy ma się troski lub nie kocha nikogo.

Ach, mój drogi, dla człowieka, który jest sam, bez boga i bez pana, ciężar dni jest straszliwy. Trzeba więc znaleźć sobie pana, skoro Bóg wyszedł już z mody. To słowo zresztą nie ma już sensu; nie warto nim gorszyć nikogo. W gruncie rzeczy naszych moralistów, tak poważnych, miłujących bliźnich i całą resztę, nie dzieli nic od pozycji chrześcijanina, chyba to tylko, że nie wygłaszają kazań w kościołach. Jak pan sądzi, co im przeszkadza się nawrócić? Może szacunek, szacunek ludzi, tak, szacunek ludzki. Nie chcą robić skandalu, zachowują swoje uczucia dla siebie. Znałem na przykład pewnego powieściopisarza-ateistę, który modlił się co wieczór. To mu nie przeszkadzało w niczym: czegoż nie przypisywał Bogu w swoich książkach! Ale spuścił mu lanie, jak powiedział, nie pamiętam już kto! Pewien walczący wolnomyśliciel, któremu o tym powiedziałem, wzniosł, bez złej intencji zresztą, palec do nieba: "Pan mi nie mówi nic nowego, westchnął ten apostoł, oni wszyscy są tacy." Jeśli mu wierzyć, osiemdziesiąt procent naszych pisarzy, gdyby mogło nie składać swego podpisu, pisałoby o Bogu i chwaliłoby imię Boże. Ale ów wolnomyśliciel powiada, że oni podpisują, ponieważ siebie kochają, i zgoda nic nie chwala, ponieważ siebie nienawidzą. Nie mogą jednak powstrzymać się od sądenia, więc odbijają sobie na moralności. W gruncie rzeczy jest to cnotliwy satanizm. Dziwna epoka, doprawdy! Cóż tedy zdumiewającego, że pomieszanie panuje w umysłach i że jeden z moich przyjaciół, ateista, jak długo był nienagannym mężem, nawrócił się,

gdy stał się rozpustnikiem! Ach, ci mali udawacze, komedianci, hipokryci, tak przecież przy tym wzruszający! Niech mi pan wierzy, wszyscy są tacy, nawet jeśli podpalają niebo. Ateiści czy dewoci, mieszkańcy Moskwy czy Bostonu, wszyscy chrześcijanie, z ojca na syna. Ale właśnie, nie ma już ojca, nie ma reguły! Człowiek jest wolny, trzeba więc sobie radzić, a ponieważ przede wszystkim nie chcą wolności ani jej wyroków, proszą, żeby im dawano po palcach, wymyślają straszliwe reguły, śpieszą wznosić stosy, żeby zastąpić kościoły. Savonarole, powiadam panu. Ale wierzą w grzech, nigdy w łaskę. Rzecz prosta, myślą o niej. Chcą łaski, potwierdzenia, swobody, szczęścia istnienia i, kto wie, ponieważ są także sentymentalni – narzeczeństwa, świeżej dziewczyny, lojalnego mężczyzny, muzyki. Czy wie pan, o czym marzyłem na przykład ja, który nie jestem sentymentalny: o miłości zupełnej, sercem i ciałem, dzień i noc, w nieustannym uścisku, w rozkoszy i uniesieniu, i to przez pięć lat, a potem śmierć. Niestety!

A więc, skoro nie ma zaręczyn i nieustannej miłości, niechaj będzie brutalne małżeństwo, siła i bat. Rzecz najważniejsza, żeby wszystko stało się proste jak dla dziecka, żeby każdy czyn był nakazany, żeby dobro i zło zostało określone w sposób arbitralny, a więc oczywisty. Ja zaś zgadzam się, jakkolwiek jestem Sycylińczykiem i Jawajczykiem, a przy tym chrześcijaninem ani za grosz, choć mam przyjaźń dla pierwszego z nich. Ale na mostach Paryża dowiedziałem się również, że lękam się wolności. Niech żyje więc jakikolwiek bądź władca, byleby zastąpił prawo nieba. "Ojcie nasz, któryś na razie tutaj... Nasi przewodnicy, nasi władcy rozkosznie surowi, o rozkazodawcy okrutni i ukochani..." W końcu, jak pan widzi, rzecz polega na tym, żeby nie być wolnym i słuchać w skrusze większego łajdaka od siebie. Kiedy będziemy wszyscy winni, nastąpi demokracja. Nie mówiąc już o tym, drogi przyjacielu, że trzeba się zemścić za to, że człowiek musi umierać sam. Śmierć jest samotna, gdy niewola jest wspólna. Inni mają również za swoje i jednocześnie z nami, to właśnie jest ważne. Wszyscy złączeni wreszcie, ale na kolanach i z pochyloną głową.

Czy nie jest też dobrze żyć na wzór społeczeństwa i czy dla tego nie trzeba, żeby społeczeństwo było do mnie podobne? Groźba, hańba, policja są sakramentami tego podobieństwa. Pogardzany, osaczony, przymuszony, mogę pokazać w pełni, kim jestem, być sobą, być naturalnym wreszcie. Oto dlaczego, mój drogi, potem gdy już nakłaniałem się uroczyście wolności, postanowiłem po cichu, że trzeba ją przekazać niezwłocznie komukolwiek innemu. Kiedy więc tylko mogę, wygłaszam kazania w moim kościele

“Mexico-City”, zachęcam poczciwy lud, by się podporządkował i ubiegał się pokornie o wygodę niewoli, którą gotów jestem przedstawić jako prawdziwą wolność.

Ale nie jestem szalony, zdaję sobie doskonale sprawę, że niewolnictwo nie nastąpi jutro. Będzie to jedno z dobrodziejstw przyszłości, ot i wszystko. A zatem muszę sobie dać radę z terażniejszością i szukać prowizorycznego przynajmniej rozwiązania. Należało więc znaleźć inny sposób, żeby sąd objął wszystkich, przez co stałby się łżejszy dla moich własnych ramion. Znalazłem ten sposób. Niech pan uchyli trochę okna, okropnie tu gorąco. Nie za bardzo, jest mi też zimno. Moja idea jest zarazem prosta i płodna. Jak wpakować wszystkich do kąpieli, żeby samemu mieć prawo schnąć na słońcu? Czy mam wstąpić na kazalnicę, jak wielu moich sławnych współczesnych, i złorzeczyć ludzkości? To bardzo niebezpieczne! Pewnego dnia lub nocy śmiech wybucha bez ostrzeżenia. Wyrok, który wydaje pan na innych, wali pana prosto w twarz i dokonuje na niej pewnych spustoszeń. A więc? powiada pan. Proszę, oto genialny pomysł. Odkryłem, że czekając na nadejście władców i ich różg, powinniśmy jak Kopernik odwrócić rozumowanie, żeby zatriumfować. Ponieważ nie można potępiać innych nie sądząc natychmiast samego siebie, trzeba obciążyć siebie, by mieć prawo do sądenia innych. Skoro każdy sędzia pewnego dnia staje się pokutnikiem, trzeba pójść w kierunku odwrotnym i być pokutnikiem, by móc skończyć jako sędzia. Pan mnie rozumie? Dobrze. Ale, żeby wyjaśnić rzecz lepiej, powiem panu, jak pracuję.

Najpierw zamknąłem moją kancelarię adwokacką, opuściłem Paryż, podróżowałem; chciałem zamieszkać pod innym nazwiskiem gdzieś, gdzie nie zabraknie mi praktyki. Takich miejsc jest wiele na świecie, ale przypadek, wygoda, ironia, a także potrzeba pewnego rodzaju umartwienia kazały mi wybrać tę stolicę wód i mgieł, pociętą kanałami, zatłoczoną i odwiedzaną przez ludzi przybywających z całego świata. Kancelarię założyłem w barze dzielnicy marynarskiej. Klientela w portach jest różna. Biedni nie chodzą do zbyt kownych dzielnic, gdy ludzie szacowni przynajmniej raz lądują w podejranych miejscach, jak pan się o tym przekonał. Czyham zwłaszcza na mieszczucha, na mieszczucha, który się zabląkał; z nim radzę sobie najlepiej. Wydobywam z niego mistrzowsko najbardziej wyrafinowane akcenty.

W “Mexico-City” zatem wykonuję od pewnego czasu mój pożyteczny zawód. Jak pan się przekonał, polega on przede wszystkim na praktykowaniu spowiedzi publicznej tak często, jak tylko się da. Oskarżam się długo i szeroko. To nie jest trudne, teraz mam

już pamięć. Ale uwaga, nie oskarżam się w sposób prostacki, bijąc się w piersi. Nie, steruję zwinnie, mnożę odcienie i dygresje, przystosowuję się do słuchacza, naprowadzam go, żeby mnie prześcignął. Mieszam to, co mnie dotyczy, i to, co odnosi się do innych. Biorę wspólne rysy, doświadczenia, których doznaliśmy razem, słabości, które dzielimy, konwenans, człowieka dzisiejszego wreszcie, tkwiącego we mnie i w innych. Z tego klecę portret wszystkich i nikogo. Słowem, klecę maskę, dość podobną do masek karnawałowych, wiernych i uproszczonych zarazem, na widok których powiada się: "Proszę, tego już spotkałem!" Kiedy portret jest skończony, jak w dzisiejszy wieczór, pokazuję go ze strapieniem: "Niestety, taki jestem." Mowa oskarżyciela jest skończona. Ale zarazem portret, który wyciągam do moich współczesnych, staje się zwierciadłem.

Okryty popiołem, wydzierając sobie powoli włosy, z twarzą pooraną paznokciami, ale z przenikliwym spojrzeniem, stoję przed całą ludzkością, streszczam moje hańby, nie tracąc z oczu efektu, który wywieram, i mówiąc: "Jestem ostatni z ostatnich." Wówczas, niepostrzeżenie, przechodzę od "ja" do "my". Kiedy dochodzę do "oto, kim jesteśmy", figiel jest już gotów, mogę im powiedzieć ich prawdy. Oczywiście, jestem jak oni, jesteśmy w tym samym worku. Mam wszakże jedną wyższość, wiem o tym i to pozwala mi mówić. Widzi pan już korzyści, jestem pewien. Im bardziej się oskarżam, tym większe mam prawo pana sądzić. Więcej jeszcze, prowokuję pana, żeby się pan osądzał sam, co mi przynosi ulgę. Ach, drogi przyjacielu, jesteśmy dziwne, nędzne istoty i jeśli tylko na chwilę zastanowimy się nad swoim życiem, nie brak nam okazji do zdumienia i zgorznienia. Niech pan spróbuje. Wysłucham pańskiej spowiedzi z wielkim poczuciem braterstwa, zapewniam pana.

Niech pan się nie śmieje! Tak, pan jest trudnym klientem. Zauważyłem to od razu. Ale pan do tego dojdzie, to nieuniknione. Większość ludzi jest bardziej sentymentalna niż inteligentna; można ich zbić z tropu natychmiast. Ale z inteligentnymi nie idzie tak szybko. Dość jednak wyjaśnić im gruntownie metodę. Tego czy innego dnia, trochę dla zabawy, trochę nie wiedząc dlaczego, siadają do gry. Pan nie tylko jest inteligentny, pan ma szlif. Niech pan przyzna jednak, że dziś czuje się pan mniej zadowolony z siebie niż przed pięciu dniami? Będę teraz czekał na pański list lub przyjazd. Bo pan przyjedzie, jestem tego pewien! Zastanie pan mnie takim samym. Dlaczego miałbym się zmienić, skoro znalazłem szczęście, które mi odpowiada? Zgodziłem się na dwoistość, zamiast nią się martwić. Przeciwnie, rozsiadłem się w niej i znalazłem komfort, którego szukałem

przez całe życie. W gruncie rzeczy nie miałem racji mówiąc panu, że chodzi przede wszystkim o to, by uniknąć sądu. Chodzi przede wszystkim o to, żeby można było sobie pozwolić na wszystko, zgadzając się od czasu do czasu wyznawać w wielkim krzyku własną nikczemność. Pozwalam sobie znów na wszystko i tym razem bez śmiechu. Nie zmieniłem swego życia, kocham siebie nadal i posługuję się innymi. Tyle tylko, że wyznanie własnych błędów pozwala mi iść bardziej lekko i czerpać podwójne korzyści, wpierw z mej natury, potem z uroczej skruchy.

Od kiedy znalazłem to rozwiązanie, oddaję się wszystkiemu, kobietom, dumie, nudzie, urazom i nawet gorączce, która, czuję to z rozkoszą, idzie w górę w tej chwili. Panuję wreszcie, i to na zawsze. Znalazłem znów szczyt, na który wspinam się sam i skąd mogę sądzić wszystkich. Od czasu do czasu, kiedy noc jest naprawdę piękna, słyszę daleki śmiech i wątpię na nowo. Ale szybko obciążam wszystko, istoty i świat, ciężarem własnego kalectwa i jestem znów odświeżony.

Będę więc czekał na pańskie hołdy w "Mexico-City" tak długo, jak będzie trzeba. Niech pan zdejmie tę koldrę, chcę oddychać. Pan przyjdzie, prawda? Pokażę panu nawet szczegóły mej techniki, mam bowiem rodzaj sympatii dla pana. Zobacz pan, jak przez całą noc uczę ich, że są nędznikami. Dziś wieczór zresztą zacznę na nowo. Nie mogę się bez tego obejść ani odmówić sobie tych chwil, kiedy jeden z nich wali się na ziemię, w czym pomaga mu również alkohol, i bije się w piersi. Wtedy, mój drogi, rosnę, rosnę, oddycham swobodnie, jestem na górze, równina rozciąga się przed moimi oczami. Jakież upojenie czuć się Bogiem-Ojcem i rozdawać ostateczne świadectwa złego życia i obyczajów! Siedzę na tronie pomiędzy moimi ohydnyimi aniołami, na szczycie holenderskiego nieba, i patrzę, jak idzie ku mnie, z mgieł i wody, tłum sądu ostatecznego. Wznoszą się powoli, widzę już, jak nadchodzi pierwszy z nich. Na jego błędnej twarzy, na wpół zasłoniętej ręką, czytam smutek wspólnej doli i rozpacz, że nie można jej ująć. Ja zaś żałuję nie rozgrzeszając, rozumiem nie wybacząc i nade wszystko, ach, czuję wreszcie, że jestem uwielbiany!

Tak, wiercę się, jakże mógłbym leżeć spokojnie? Muszę być wyżej od pana, moje myśli mnie podnoszą. W te noce, w te ranki raczej, gdyż upadek następuje o świcie, wychodzę, idę szybkim krokiem wzdłuż kanałów. W sinym niebie warstwy piór stają się cieńsze, gołębie pojawiają się znowu, różowawe światło na wysokości dachów zwiastuje nowy dzień mego stworzenia. Na Damraku rozbrzmiewa w wilgotnym powietrzu

pierwszy dzwonek tramwaju i wydzwania przebudzenie życia na krańcu tej Europy, gdzie w tej samej chwili setki milionów ludzi, moich poddanych, z trudem wstaje z łóżka z gorzkim smakiem w ustach, by iść ku pracy bez radości. Wówczas unosząc się myślą nad całym tym kontynentem, który jest w mojej władzy, choć nie wie o tym, pijąc absynt wstającego dnia, pijany od złych słów, jestem szczęśliwy, jestem szczęśliwy, powiadam panu, zabraniam panu nie wierzyć, że jestem szczęśliwy, jestem śmiertelnie szczęśliwy! O słońce, plaże, wyspy pod pasatami, o młodości, której wspomnienie przyprawia o rozpacz!

Kładę się z powrotem, niech mi pan wybaczy. Obawiam się, że się rozegzaltowałem; a jednak nie płaczę. Człowiek błądzi czasem, wątpi o rzeczach oczywistych, nawet jeśli odkrył tajemnicę dobrego życia. Oczywiście, moje rozwiązanie nie jest ideałem. Ale kiedy nie kocha się własnego życia, kiedy wie się, że trzeba je zmienić, nie ma wyboru, prawda? Co zrobić, żeby być innym? Niemożliwe. Trzeba by być nikim, zapomnieć się dla kogoś, przynajmniej raz. Ale jak? Niech mnie pan za bardzo nie oskarża. Jestem jak ten stary żebrak, który pewnego dnia, na tarasie kawiarni, nie chciał wypuścić mojej ręki: "Ach, proszę pana, mówił, nie jesteśmy źli, ale tracimy światło." Tak, straciliśmy światło, poranki, świętą niewinność człowieka, który wybacza sobie samemu.

Niech pan spojrzy, śnieg pada! Och, muszę wyjść! Amsterdam uśpiony w białej nocy, kanały barwy ciemnego nefrytu pod małymi zaśnieżonymi mostami, puste ulice, moje stłumione kroki, to będzie przelotna czystość przed błotem jutra. Niech pan popatrzy na ogromne płatki, które ocierają się o szyby. To na pewno gołębice. Wreszcie postanawiają zejść, kochane, pokrywają wody i dachy grubą warstwą piór, uderzają do wszystkich okien. Jaki najazd! Miejmy nadzieję, że przynoszą dobrą nowinę. Wszyscy będą zbawieni, nie tylko wybrani, bogactwa i troski zostaną podzielone i pan, na przykład, od jutra będzie spał co noc dla mnie na podłodze. Cała lira, proszę! Ech, niech pan przyzna, że zdębiałby pan, gdyby z nieba zszedł wóz, żeby mnie zabrać, albo gdyby śnieg, nagle zapłonął. Pan w to nie wierzy? Ja także. A Jednak muszę wyjść.

Dobrze, dobrze, leżę spokojnie, niech pan się nie martwi! Proszę nie ufać za bardzo ani moim rozrzewnieniom, ani majaczeniom. Są one kierowane. Teraz, kiedy zacznie pan mówić o sobie, będę wiedział na przykład, czy jeden z celów mojej porywającej spowiedzi został osiągnięty. Wciąż mam nadzieję, że mój rozmówca okaże

się policjantem i aresztuje mnie za kradzież *Sprawiedliwych sędziów*. Jeśli idzie o resztę, nikt nie może mnie aresztować. Ale ta kradzież podpada pod literę prawa, a ja wszystko załatwiłem tak, żeby stać się współwinowajcą; ukrywam ten obraz i pokazuję każdemu, kto chce go widzieć. Pan mnie zaaresztuje więc, byłby to dobry początek. Może później zajmą się resztą, zetną mi głowę na przykład i nie będę się już bał umrzeć, będę uratowany. Nad zgromadzonym ludem wzniesie pan moją ciepłą jeszcze głowę, ażeby się w niej rozpoznali i żebym znów mógł górować nad nimi przykładowie. Wszystko będzie spełnione, ja zaś zakończę, niewidoczny i nieznany, moją karierę fałszywego proroka, który krzyczy na pustyni i nie chce jej opuścić.

Ale oczywiście, pan nie jest policjantem, to byłoby zbyt proste. Co? Ach, widzi pan, domyślałem się tego. Ta dziwna sympatia, którą czułem do pana, miała więc sens. Pan uprawia w Paryżu piękny zawód adwokata! Wiedziałem dobrze, że jesteśmy z tej samej rasy. Czy nie jesteśmy wszyscy podobni, mówiąc bez przerwy do nikogo, stając wciąż przed tymi samymi pytaniami, choć z góry znamy odpowiedź? A zatem, niech mi pan opowie, co zdarzyło się panu pewnego wieczora na nadbrzeżnych bulwarach Sekwany i jak udało się panu nie zaryzykować nigdy swego życia. Niech pan powie słowa, które od lat słyszę po nocach i które powiem wreszcie pańskimi ustami: "O dziewczyno, skocz raz jeszcze do wody, żebym po raz drugi miał szansę uratować nas oboje!" Po raz drugi, co, jaka nieostrożność! Niech pan sobie wyobrazi, drogi mecenasie, że biorą nas za słowo? Trzeba by to zrobić. Brrr!... woda jest taka zimna! Ale bądźmy spokojni! Teraz jest za późno, zawsze będzie za późno! Na szczęście!